

Anthony Grafton

Princeton University

Kodeks w kryzysie. Dematerializacja książki*

Abstract

Codex in crisis: the book dematerialises

This article analyses the transformation of the idea of codex from the Antiquity, through the modern concepts of manuscript and printed volume, to its current digital form and digital repositories as Google Books or JSTOR. The author situates the process of digitization of books within a rich historical context and explores the influence of new media on the contemporary methods of reading, writing, publishing and storing information. He offers a critical analysis of the policies adopted by the largest libraries with regard to their digital collections as well as the consequences of digitization for academic publishing. This essay also attempts to show the tangible consequences of our growing familiarity with digital editions, for as useful and democratic as they are, they also make us forget the material aspect of the historical sources, e.g. their tangibility, size and format, as well as their sensual qualities which cannot be transmitted through the digital medium.

Słowa kluczowe: digitalizacja, historia książki, historia czytelnictwa, biblioteki

Keywords: digitization, book history, history of reading, libraries

Alfred Kazin zaczął pracę nad swoją pierwszą książką, *On Native Grounds*, w roku 1938. Jako dziecko ubogich i skromnych żydowskich imigrantów z Brooklynu, studiował w City College. Podczas gdy pozbawieni polotu profesorowie przeczekiwali zajęcia, a staliniści i trockiści zamienili kafeterię

* Podstawa przekładu: Anthony Grafton, *Codex in Crisis: The Book Dematerialises*, Crumpled Press 2008. Redakcja dziękuje Panu Profesorowi Anthony'emu Graftonowi oraz wydawnictwu Crumpled Press (www.crumpledpress.org) za zgodę na publikację przekładu.

w pole bitwy, Kazin rozwinął w sobie pasję do literatury i zaczął pisać recenzje. Miał mało pieniędzy i niewielkie wsparcie, ale mimo to udało mu się napisać wyjątkową, obszerną książkę, w której opowiedział historię wielkiego amerykańskiego intelektualisty oraz ruchów literackich od końca XIX stulecia aż do jego czasów i którą udało mu się osadzić w bogato przywoływanym kontekście historycznym. Jedną instytucją umożliwiła mu pracę: była to New York Public Library (NYPL) na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie spędził niemal pięć lat. Wspominał później:

O czymkolwiek bym usłyszał i zechciał to zobaczyć, było to w posiadaniu tego błogosławionego miejsca: pierwsze wydania amerykańskich powieści z tych inspirowanych dziesięcioleci po wojnie secesyjnej doprowadziły mnie do mojego tematu „nowoczesności”; stare katalogi od dawna nieistniejących wydawców z Chicago, którzy w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku byli młodymi mężczyznami starającymi się wspierać mały realizm; żółknące, kruszejące, ale nietknięte stare numery „Masses” (1911–1918), które były dla stalinowskich „New Masses” tym, czym św. Franciszek był dla inkwizycji.

Zbiory biblioteki nauczyły go, „jaka nadzieja, pęd, intelektualna świeżość przybyły z tymi pionierami realizmu ze Środkowego Zachodu, którzy głosili, że nie ma innej amerykańskiej literatury, jak tylko ta, którą oni zamierzają stworzyć”. Nie opuszczając w ogóle Manhattanu, Kazin wyczytał sobie ścieżkę do

[...] samotnych małych miasteczek, wiosek na prerii, odizolowanych college'ów, zakurzonych kancelarii prawnych, ogólnokrajowych czasopism i prowincjonalnych „akademii”, gdzie nikt się nie spodziewał, że posłusznie wyglądający reporterzy, klerkowie, bibliotekarze i nauczyciele okażą się Willą Cather, Robertem Frostem, Sinclairem Lewisem, Wallace'em Stevensem, Marianne Moore¹.

Kazin i Richard Hofstadter, jego bliski przyjaciel, z którym dzielił szybkie lunchy, szybkie rozgrywki ping-ponga i okazjonalne popołudniowe kroniki filmowe, byli tylko dwoma z niezliczonej rzeszy pisarzy, czytelników i krytyków, którzy przez stulecia odnaleźli siebie i swoje tematy w bibliotekach. To stara historia, cicha i dodająca otuchy: dużo czytający chłopak lub dziewczyna wchodzi do chłodnej, ciemnej biblioteki i odkrywa tam samotność i wolność. Jednak przez ostatnie dziesięć lat miasta książki były wszystkim tylko nie ciszą. Komputer oraz Internet przekształciły czytanie w o wiele bardziej dramatyczny sposób, aniżeli uczyniła to prasa drukarska. W wielkich bibliotekach, od Stanfordu do Oxfordu, obracają się strony, skanery mruczą, bazy danych rosną – a świat książek, opatrzonych prawami autorskimi informacji i repozytoriów pojedynczych egzemplarzy, drży w posadach.

Scenariusze dni ostatecznych często wiązały się z książkami. W Apokalipsie są wzmianki o listach, opisana jest księga z siedmioma pieczęciami, zaś akt zamknięcia księgi stanowi sugestywną metaforę końca fizycznego świata:

¹ A. Kazin, *New York Jew*, New York 1978, s. 5–7.

„Niebo zostało usunięte jak księga, którą się zwija” (Ap 6, 14). Jednak na początku XXI stulecia retoryczna sytuacja uległa odwróceniu. Wielkie projekty informacyjne, nadzorowane przez Google i konkurencyjne firmy, wywołały millenarystyczne proroctwa dotyczący obecnie znanej nam formy tekstów: twierdzenia, że drukowana książka, czasopismo, gazeta są równie martwe jak drzewa, z których wykonany został ich papier, oraz prognozy głoszące, że cyfrowe repozytoria ludzkiej wiedzy nie tylko zastąpią książki, lecz także je ulepszą. W roku 2006 Kevin Kelly, samozwańczy dyżurny indywidualista magazynu „Wired”, opublikował na łamach „New York Timesa” jedno z bardziej wpływowych proroctw tego rodzaju. We wnikliwej analizie zawitych problemów prawnych związanych z digitalizacją książek objętych prawami autorskimi Kelly żywo opisuje wirtualną bibliotekę, którą tworzą Google oraz jego rywale i partnerzy. Kelly wierzy, że w niedalekiej przyszłości „wszystkie książki świata staną się jedną płynną tkanką powiązanych z sobą słów i idei”. Użytkownik elektronicznej biblioteki będzie w stanie wydobyć „wszystkie – dawne i nowe – teksty na konkretny temat”, a przez to będzie mógł uzyskać „wyraźny obraz tego, co my jako cywilizacja, gatunek, wiemy i czego nie wiemy. Białe plamy naszej kolektywnej niewiedzy zostaną podkreślone, podczas gdy złote szczyty naszej wiedzy będą się pysznić swoją pełnią”². Inni przywoływali nawet jeszcze bardziej millenijne perspektywy: uniwersalne archiwum, w którym zgromadzone zostaną nie tylko wszystkie książki i artykuły, lecz także wszystkie możliwe dokumenty, które stworzą podstawę totalnej historii rodzaju ludzkiego.

Bibliotekarze, wydawcy, profesorowie, drukarze – wszyscy jesteśmy zafascynowani widokami, które roztaczają przed nami tacy prorocy: przyszłość, w której czytelnicy poszukujący informacji kierują się do ekranów a nie do książek, zaś czytelnicy poszukujący przyjemności zaczynają robić tak samo w miarę jak poprawia się jakość czytników e-booków. Taka perspektywa doprowadza do szału niektórych akolitów książki: na przykład Jean-Noël Jeanneney, historyk i były dyrektor Bibliothèque Nationale de France opublikował w roku 2005 smutny, mały tomik, w którym okrzyknął Google Books typowym amerykańskim spiskiem, imperialistycznym i prostackim, podobnym do wojny w Iraku. Dowodził tam, że Google najpierw wypełni sieć książkami po angielsku, po czym zacznie czerpać korzyści z takiego skrzywienia obrazu świata nauki i literatury. Tylko energiczne środki zaradcze – najlepiej finansowane przez rządy państw, a nie korporacje – mogą ocalić literaturę i naukę europejską³.

Mój instynkt i doświadczenie predysponują mnie do tego, abym przyglądał się tym krytykom nowego tekstowego świata. Jestem miłośnikiem starych bibliotek – bibliotek lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w których stałem się naukowcem. Będąc wówczas studentem, żyłem w czymś, co odbierałem jako raj bibliomaniaka i z perspektywy czasu nadal wydaje się to idyllą.

² „New York Times”, 14 May 2006.

³ J.-N. Jeanneney, *Quand Google défie l'Europe: Plaidoyer pour un sursaut*, Paris 2005.

Książki i czasopisma były tanie, budżety bibliotek były wystarczające. Nawet w Stanach Zjednoczonych regały dobrych bibliotek od Connecticut do Kalifornii były wypełnione szesnasto- i siedemnastowiecznymi tomami, których nikt jeszcze nie uznał za rzadkie, oraz reprintami wszystkich tytułów, których biblioteka nie posiadała w ich oryginalnej formie. Krążyłem po rozległych, otwartych księgozbiorach University of Chicago, gdzie studiowałem, oraz Cornell i Princeton, gdzie uczyłem, wyciągając z nich książki dziesiątkami, w równym stopniu zafascynowany tym, czego mogę się z nich dowiedzieć na temat dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych uczonych oraz badaczy, jak i tym, czego mogłem się nauczyć o nieco bardziej odległej przeszłości, którą się zajmowałem.

Będąc jak Kazin nowojorczykiem, również uwielbiałem siedzieć w sfatygowanych, ale dostojnych czytelniach New York Public Library w oczekiwaniu na sygnał, że zamówione przeze mnie książki już spłynęły. W tym okresie w wielu bibliotekach nie było kafeterii, a te, w których kafeteria była, i tak wołały wystawić automat z napojami niż oferować świeże espresso czy capuccino. Mimo to stały się one ulubionym miejscem spotkań dla mnie i ludzi do mnie podobnych. Później, już w latach siedemdziesiątych, kiedy dowiedziałem się, że biblioteka w Princeton oznaczyła mnie kategorią „uzależnionego czytelnika” [*heavy user*], wcale mnie to nie zdziwiło, choć poczułem się nieco zaniepokojony doborem terminologii. Miłość do bibliotek zaprowadziła mnie do dziwnych i cudownych miejsc, takich jak British Library w Londynie, wówczas jeszcze znajdująca się pod bladoniebieską dziewiętnastowieczną kopułą, która udzielała schronienia Karolowi Marksovi, Colinowi Wilsonowi i innym outsiderom, jak Warburg Institute, również w Londynie, którego założyciel i jego następcy ułożyli książki zgodnie z „zasadą dobrego sąsiedztwa”, dzięki której czytelnicy szukający na regałach konkretnej książki byli zaskoczeni, mając możliwość zaznajomienia się z tomami o pokrewnej tematyce znajdującymi się obok; wreszcie – do Bodleian Library, Bibliothèque Nationale w Paryżu, Bibliothek der Rijksuniversiteit w Lejdzie i Biblioteca Apostolica Vaticana. Jedną z wielu rzeczy, których się nauczyłem w trakcie tych lat spędzonych w kurzu i zapachu szlachetnego zepsucia, jest to, że każda biblioteka stanowi ucieleśnienie szczególnej idei. Ich zawartość, sposób katalogowania rękopisów i książek oraz umieszczenia ich na półkach, a także braki w ich zbiorach – wszystkie te szczegóły opowiadają wszystkim zainteresowanym historii o pisarzach, czytelnikach i zbieraczach oraz zamieszkanych przez nich historycznych światach.

Uczeni stają się wielcy, kiedy przykładają wagę do tego, co owe zbudowane ze względu na określony cel kolekcje, wraz z ich odmiennymi systemami i tradycjami ustnymi, mają do przekazania. Nikt nie opisał bardziej precyzyjnie surowej natury pracy humanisty od historyka Petera Browna, który swoją formację wiąże z czasem spędzonym w Lower Reading Room w Bodleian Library w Oxfordzie:

Był to świat pełen książek, z których każda była głęboko zakorzeniona w krajobrazie konkretnej biblioteki. Były one dostępne w jednym miejscu dla traktujących je z czcią czytelników, którzy sami pod pewnym względem upodobnili się do nich. Widać je było każdego roku na ich biurkach. Między 1953 a 1978 przechodziłem od jednego stanowiska akademickiego do drugiego, zmieniał się też mój sposób myślenia. Jednak w Lower Reading Room Bodleiany wszystko wydawało się nadal takie samo. Naprzeciwko mnie zawsze na przykład siedział uznany autorytet w dziedzinie interpretacji Biblii dokonanej przez św. Augustyna oraz dziejów chrześcijańskiej liturgii w Hipponie. Nie był związany z uniwersytetem – był duchownym, który przyjeżdżał regularnie ze swojej parafii znajdującej się gdzieś na terenie hrabstwa Oxfordshire. Zauważyłem, że nosił na nogach kapcie. Często zdarzało się tak, że kojarzące się z sypialnią kapcie brały górę nad książkami i duchowny zasypiał. Będąc wówczas afektowanym młodzieńcem, zastanawiałem się, czy mogę faktycznie ufać poglądom na temat donatyzmu wyrażanym przez tak senną personę. Wielebny jednakowoż reprezentował szerszy świat uczonych, obejmujący więcej profesji i będący w stanie przyjąć więcej form uczonych przedsięwzięć, niż jestem w stanie odnaleźć teraz, wśród moich kolegów, w sali seminaryjnej. To dla takich postaci jak on – uczonych obdarzonych wielką kulturą, którzy niekoniecznie byli akademikami, a także dla moich uczniów i kolegów z Oxfordu, napisałem moją książkę o Augustynie i dlatego odstąpiłem od swoich zamiarów i dopilnowałem, żeby ukazała się w londyńskim wydawnictwie Faber, a nie nakładem Oxford University Press. Postaci takie jak te reprezentowały sobą wyjątkową stałość wspólnego życia uczonych⁴.

Poznać lekturę w jej rzemieślniczej postaci oznacza podchodzić z nieufnością do jakiegokolwiek planu, który traktuje książki jako dobro dające się wymienić lub który – jak w wypadku Google – celuje w uniwersalność.

Byłoby jednak absurdem przyłączyć się do krucjaty Jeanneneya. Wprowadź dowolne słowo lub frazę w jakimkolwiek języku europejskim do okna wyszukiwania Google Books, a błyskawicznie przekonasz się, że w systemie znajdują się już tysiące tekstów w językach innych niż angielski. Natomiast jeśli chodzi o rząd francuski, to jego największym darem dla świata była biblioteka, którą kierował Jeanneney: budynek, który wygląda jak scenografia z dystopijnego filmu *science fiction* z lat siedemdziesiątych – pomyślcie o *Ucieczce Logana* – i dostarcza też podobnej zabawy, kiedy się w nim pracuje. Jako liberał we współczesnym angloamerykańskim znaczeniu tego terminu, wierzę, że kompetentne rządy potrafią zrobić wiele rzeczy lepiej niż rynek, jednakże nie jestem wcale przekonany, czy rola Francji jako statysty dostarczającego czytelnikom książek jest właściwym przykładem. Francuska Biblioteka Narodowa zasługuje na uznanie za swoją własną bazę, Gallikę, która oferuje użytkownikom pieczołowicie wybrany i dobrze zdigitalizowany kanon tekstów, oraz za to, że ciągle zaopatruje się w najnowsze zagraniczne publikacje. BNF musi jednak nadal udowodnić, że może – lub chce – zmobi-

⁴ P. Brown, *A Life of Learning*, Charles Homer Haskins Lecture, 2004, <http://www.acls.org/op37.htm> [dostęp: 13.08.2008].

lizować i udostępnić światu szeroką, nieuporządkowaną masę kanonicznych i niekanonicznych tekstów, aby czytelnicy mogli z nich swobodnie korzystać. Wielu amerykańskich i brytyjskich bibliotekarzy z entuzjazmem odnosi się do perspektywy udostępniania książek z ich bibliotek nowej publiczności, za pomocą nowych mediów, i dla każdego jest oczywiste, dlaczego tak jest. W końcu Google Books każdego dnia udowadnia nam coraz bardziej, że z równym powodzeniem można zajmować się różnymi aspektami francuskiej myśli i literatury, mieszkając w Nowym Jorku lub Paryżu, i to o wiele bardziej efektywnie.

Uniwersalna biblioteka

Problem polega na tym, jak należy rozumieć dokonujące się obecnie procesy, kiedy to wszyscy próbujemy się przeciwstawić uderzającemu w nas napływowi tradycyjnych książek i nowych mediów. Niezwykle ważny – i bardzo łatwy do przeoczenia – jest tutaj fakt, że Internet wcale nie stworzy uniwersalnej biblioteki, swego rodzaju encyklopedycznego zapisu całego ludzkiego doświadczenia. Żadna z firm zaangażowanych obecnie w projekty digitalizacyjne nie twierdzi, że stworzy coś takiego. Szum wokół problemu i towarzysząca mu w sieci retoryka utrudniają uchwycenie tego, co tak naprawdę robi Google wraz z bibliotekami partnerskimi i do czego za dziesięć czy dwadzieścia lat czytelnicy będą mieli dostęp lub nie. Wyraźnie widać, że osiągnęliśmy moment przełomowy, nową epokę w historii produkcji i konsumpcji tekstów. Na wielu frontach tradycyjne czasopisma i książki ustępują miejsca blogom, komputerowym bazom danych i innym elektronicznym formatom. Jednocześnie nadal sprzedaje się dużo egzemplarzy pism i książek. Obecny pęd do digitalizacji drukowanych dokumentów jest jednym z wielu krytycznych projektów składających się na długą sagę o naszym pragnieniu akumulacji, przechowywania i skutecznego wyszukiwania informacji. Skutkiem jego nie będzie jednak infotopia, której nadejście zapowiadają prorocy, ale jeszcze jeden z wielu nowych ekosystemów informacyjnych, z których każdy stanowi niezwykle wyzwanie i w którym czytelnicy, pisarze oraz producenci tekstów nauczyli się przetrwać i prosperować.

Przez stulecia – ba, przez tysiąclecia – skrybowie i uczeni, którzy wytwarzali książki, byli często również odpowiedzialni za organizowanie ich w kolekcje i wynajdywanie sposobów pomagających czytelnikom w odnajdywaniu informacji i panowaniu nad tym, czego potrzebowali. Jeszcze w trzecim tysiącleciu p.n.e. mezopotamscy skrybowie zaczęli katalogować tabliczki znajdujące się w ich zbiorach. Dla łatwości sięgania po nie, dodawali opisy treści na krawędziach tabliczek i stworzyli system układania ich na półkach, mający służyć szybkiej identyfikacji powiązanych z sobą tekstów. Największa kolekcja starożytności, Biblioteka Aleksandryjska, miała pod względem swoich

ambicji i metod wiele wspólnego z wysiłkami podejmowanymi obecnie przez Google. Została założona około 300 roku p.n.e. przez Ptolemeusza I, który odziedziczył po Aleksandrze Wielkim świeżo założone miasto, Aleksandrię. Będąc historykiem gustującym w poezji, Ptolemeusz zdecydował o zgromadzeniu wyczerpującej kolekcji greckiej literatury, filozofii i piśmiennictwa naukowego. Podobnie jak Google, w bibliotece wypracowana została efektywna procedura wychwytywania i reprodukcji tekstów. Kiedy tylko do portu zawijał jakiś statek, znalezione na nim zwoje były konfiskowane i zabierane do biblioteki. Jej pracownicy wykonywali kopie dla właścicieli, a oryginały układali w sterty, które następnie miały być skatalogowane – fakt ten może nam dać pewne wyobrażenie o skali całego przedsięwzięcia. Pozyskane w ten sposób kopie Homera określane były jako „te ze statków”.

W szczytowym momencie rozwoju w bibliotece znajdowało się przeszło pół miliona zwojów; stanowiły one taki gąszcz informacji, że zmusiły bibliotekarzy do wypracowania nowych metod organizacji. Po raz pierwszy w historii teksty ułożono na półkach w porządku alfabetycznym. Postawiony wobec tej przytłaczającej masy, poeta i uczony Kallimach stworzył wyczerpującą bibliografię. Przedsiębiorczy fałszerze, wychodząc naprzeciw apetytowi biblioteki, dostarczyli tak wiele fałszywych tekstów, że Kallimach musiał systematycznie odróżniać autentyczne dzieła wielkich poetów od podróbek, które również należały do biblioteki. Instytucja ta zaczęła stopniowo stawać się ośrodkiem skupionej nauki, w której bibliotekarze, tacy jak Zenodot z Efezu, Arystofanes z Bizancjum, Arystarch z Samotraki, korygowali i komentowali klasyczne teksty. Wiele szczegółów ich pracy, zachowanych na dodatek jedynie częściowo po zniszczeniu biblioteki, ma kontrowersyjny charakter. Mimo to wydaje się jasne, że uczeni ci wypracowali nie tylko nowe filologiczne metody, lecz także stworzyli standardową wersję tekstu Homera, który znajdował się w obiegu w Egipcie w okresie hellenistycznym i rzymskim. Było to gigantyczne osiągnięcie stulecia, w którym każdy tekst kopiowano ręcznie⁵.

Sześćset lat po Kallimachu Euzebiusz, historyk i biskup położonej nad morzem palestyńskiej Cezarei, zgromadził w lokalnej bibliotece źródła chrześcijańskie i dokonał ich korekty. Wypracował również złożoną sieć krzyżowych powiązań, zwanych „tablicami kanonicznymi”, które umożliwiły czytelnikom odnalezienie odpowiednich fragmentów we wszystkich czterech Ewangeliach; system Euzebusza został niedawno określony przez wybitnego współczesnego badacza Jamesa O’Donnella pierwszym na świecie zbiorem hiperłączy. Będąc sprawnym organizatorem, Euzebiusz zgromadził zespół sekretarzy i skrybów, których zadaniem było stworzenie egzemplarzy Biblii zawierających jego nowe tablice. Cesarz Konstantyn dowiedział się, że Euzebiusz stworzył wyjątkowo skuteczny system i w latach trzydziestych IV stulecia zamówił u biskupa pięćdziesiąt pergaminowych kodeksów dla kościołów Konstantynopola, jego nowego miasta. Sam Konstantyn dostarczył potrzebną do ich wytworzenia skórę (w epoce manuskryptów ofiara krwi była ceną, jaką

⁵ L. Casson, *Libraries in the Ancient World*, New Haven 2001.

należało zapłacić w zamian za piękne książki) i wysłał je błyskawicznym cesarskim systemem obiegu przesyłek. Wiedział, że tylko w skryptorium w Cezarei surowe materiały zostaną w krótkim czasie przekształcone w akuratne, właściwie sformatowane tomy Biblii⁶. Przez całe średniowiecze wielkie biblioteki klasztorne kontynuowały ogromne, podwójne przedsięwzięcie gromadzenia i katalogowania wielkich zbiorów oraz – w skryptoriach – tworzenia i rozpowszechniania kopii najważniejszych tekstów.

Narodziny druku w piętnastowiecznej Europie zmieniły sytuację bibliotekarzy i czytelników. W ciągu półwiecza drukarze wprowadzili do świata piśmiennych i ciekawych świata ludzi przeszło 28 tysięcy tytułów i miliony egzemplarzy książek – wielokrotnie więcej od tego, co do tej pory znajdowało się w europejskich bibliotekach. Opisy nowych krain, nowe teologie, nowe idee na temat wszechświata przemieszczały się szybciej i były sprzedawane za niższą cenę niż kiedykolwiek dotąd.

Jednak nawet w tym okresie agresywnej ekspansji w przedsiębiorczym świecie drukarzy znalazło się miejsce dla tradycyjnych umiejętności uczonych bibliotekarzy. Giovanni Andrea Bussi, bibliotekarz papieskiej kolekcji Sykstusa IV służył jako doradca dwóch działających w Rzymie niemieckich drukarzy, Conrada Sweynheyma i Arnolda Pannartza. Wydawali oni klasyków i ojców Kościoła w eleganckich edycjach, które były znacznie tańsze od rękopisów. Miejscowi uczeni, podnieceni szybkością i gospodarczym wymiarem nowego procesu, sprawili, że ogrody Watykanu zaczęły rozbrzmiewać wygłaszanymi przez nich pochwałami. Bussi zredagował i poprawił należące do nich kopie, a czasami dodawał elokwentne przedmowy do ich książek. Jak jednak wielu pierwszych poruszycieli, Bussi i jego współnicy szybko przekonali się, że przecenili rynek, który nie był w stanie przyjąć wydań osiągających nakłady od kilkuset do tysiąca egzemplarzy. Bussi określił to wymownie, skarżąc się Sykstusowi, że znaleźli się w rzymskim pałacu pełnym schnących arkuszy, ale za to bez jedzenia⁷. Nie byli ostatnimi przedsiębiorcami z dziedziny nowych technologii informacyjnych, którzy doświadczyli tego rodzaju trudności. Nadal jednak model, w którego powstaniu Bussi uczestniczył i w ramach którego uczeni erudyci doradzali realistycznie myślącym wydawcom, pozostał czymś standardowym w XVI wieku, a ci drukarze, którzy go odrzucili, zrobili tak tylko dlatego, że sami byli gruntownie wykształceni i potrafili wybrać podstawę edycji i wykonać jej korektę.

Przez następne trzy stulecia napędzany chęcią zysku przemysł wydawniczy i pracowite naukowe życie bibliotek stały się oddzielnymi sferami. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat, kiedy sprzedaż książek wydawnictw akademickich uległa zmniejszeniu, a ceny prenumerat czasopism akademickich osiągnęły

⁶ A. Grafton, M. Williams, *Christianity and the Transformation of the Book*, Cambridge, MA, 2006.

⁷ G.A. Bussi, *Prefazioni alle edizioni di Sweynheym e Pannartz prototipografi romani*, ed. M. Miglio, Milan 1978; E. Hall, *Sweynheym & Pannartz and the Origins of Printing in Italy: German Technology and Italian Humanism in Renaissance Rome*, McMinville 1991.

niebotyczny poziom, ten antyczny model znów ożył. Za pośrednictwem elektronicznych programów wydawniczych biblioteki zaczęły brać na siebie zadania, które do tej pory były tradycyjnie cedowane na wydawnictwa uniwersyteckie, takie jak dystrybucja rozpraw doktorskich i reprodukcja miejscowych kolekcji książek oraz dokumentów. Ithaka, organizacja doradcza o charakterze *non profit*, ogłosiła w lipcu 2007 roku raport na temat wydawnictw akademickich, w którym odnotowany został entuzjazm, jaki te nowe możliwości wywołały wśród bibliotekarzy⁸. Ironiczne jest w tym wszystkim to, że ani doradcy, ani liczni komentatorzy raportu nie zdawali sobie sprawy, że biblioteki, odzyskując częściową kontrolę nad sposobami przetwarzania i udostępniania tekstów, nie podbiły bynajmniej nowego terytorium, ale raczej wracały do przeszłości. Nowa elektroniczna biblioteka, która nie tylko przechowuje teksty, ale także publikuje je na swojej stronie internetowej, angażuje się w wiele działań, które dla Euzebiusza z Cezarei byłyby całkowicie naturalne.

Szybkie, godne zaufania metody poszukiwania i wydobywania wiadomości są czasami określane jako główne cechy naszej informatycznej epoki: „szukanie jest wszystkim” stało się przysłowiem. Jednak uczeni przez tysiąclecia mocowali się z nadmiarem informacji, a w okresach, gdy wydawało się, że ich źródeł zaczyna szczególnie szybko przybywać, wynajdywali pomysły sposoby kontroli i wykorzystywania tego zalewu danych. Renesans, w trakcie którego liczba dostępnych tekstów wzrastała w niespotykanym do tej pory tempie, był epoką wielkiego, systematycznego notowania. Uczniowie znajdowali w podręcznikach zalecenia dotyczące tego, w jaki sposób skondensować treść całej, antycznej i nowożytnej, literatury w formie abstraktów oraz wypisów uporządkowanych według nagłówków. Jeremias Drexel, siedemnastowieczny jezuita, autor jednego z takich typowych podręczników, pokazał wartość tej sztuki już samym doborem tytułu – nazwał swoją książeczkę „kopalnią złota”. Jej frontyspis był nawet jeszcze bardziej wymowny – grupie górników kopiących w ziemi w poszukiwaniu złota została przeciwstawiona postać samotnego uczonego sporządzającego notatki na temat prawdziwszego złota znajdującego się w jego książkach⁹. Dobrze czujący się w tym systemie uczeni, tacy jak Isaac Casaubon, stworzyli mocne, efektywne sieci notatek na marginesach swoich książek i w swoich notatnikach – setki popisanych przez Casaubona tomów i niemal sześćdziesiąt notesów zachowało się do dzisiaj – i wykorzystywali je do wydobywania informacji na każdy możliwy temat, od religii, tragedii greckiej do historii kultury Egiptu w późnej starożytności¹⁰.

Wówczas, podobnie jak obecnie, atrakcyjne i kosztowne nowe technologie osiągnęły swój kształt. Jacques Cujas, wpływowy szesnastowieczny prawnik,

⁸ *University Publishing in a Digital Age*, <http://www.ithaka.org/strategic-services/university-publishing> [dostęp: 13.08.2008].

⁹ J. Drexel, *Aurifodina artium et scientiarum omnium, excerptendi solertia, omnibus litterarum amantibus monstrata* 1641.

¹⁰ Zob. M. Pattison, *Isaac Casaubon, 1559–1614*, 2nd ed., Oxford 1892 oraz A.D. Nuttall, *Dead from the Waist Down*, New Haven 2003.

wprawiał w zdumienie swoich gości, pokazując im obrotowe krzesło fryzjerskie oraz ruchomy pulpit na książki, który pozwalał mu mieć w jednym momencie wiele otwartych książek i w zależności od potrzeby – przemieszczać siebie albo poruszać nimi. Thomas Harrison, siedemnastowieczny angielski wynalazca, który wydaje się pochodzić z kart powieści J.G. Garrella, wynalazł informacyjną szafę, którą nazwał „Arką Nauki”. Tłumaczył, że grupa czytelników mogłaby streścić i wybrać fragmenty szerokiej gamy tekstów, a następnie uporządkować tak powstałe notatki, rozwieszając je na metalowych hakach pod odpowiednimi etykietami, w sposób zbliżony do dwudziestowiecznego indeksu kartkowego. Z kolei Leibniz, wielki niemiecki filozof – być może ostatni człowiek, który równocześnie poruszał się po obszarach historii, filozofii i przyrodoznawstwa – z entuzjazmem zakupił jedną z szaf Harrisona i wykorzystywał w swojej pracy badawczej¹¹.

Mniej czytane dusze mogły korzystać z prostszych technik skracających proces poszukiwania informacji – podobnie jak robią to teraz z Wikipedią i Google. Erazm z Rotterdamu powiedział (i wierzył w to), że każdy poważny student powinien przeczytać cały korpus literatury klasycznej i sporządzić na jego podstawie własne notatki. Jednocześnie jednak skomponował wspaniałe encyklopedyczne dzieło, *Adagia*, w którym wyłożył i wyjaśnił tysiące związanych starożytnych powiedzeń, zaopatrując je w staranne indeksy tematyczne, mające pomóc czytelnikom w poszukiwaniu tego, czego potrzebowali. Przez stulecia tysiące chłopców stykało się na początku edukacji z antyczną wiedzą za pośrednictwem tego poręcznego, wstępnie obrobionego tomu. Erazm, opowiadając historię Pandory, stwierdził, że nie otworzyła ona słoika – jak było to w oryginalnej greckiej wersji Hezjoda – tylko puszkę. Jak dawno temu pokazali Erwin i Dora Panofscy, w każdym europejskim języku z wyjątkiem włoskiego zwrot „puszka Pandory” stał się związkim frazeologicznym – wszak dramaturdzy, poeci i eseści w pierwszej kolejności sięgali do kolekcji Erazma, kiedy potrzebowali zgrabnego sposobu wyrażenia niebezpieczeństw związanych z bezmyślnym działaniem, by nie wspomnieć o ich lęku przed kobietami¹². Podobnie jak dokonane przez Alę Gore’a wynalezienie Internetu, puszka Pandory jest kaczka dziennikarską – stała się wszechobecna, niemal powszechna, za sprawą nowej technologii informacyjnej. Innymi słowy, nawet najlepsze procedury wyszukiwania zależą od baz danych, na których się opierają, i czasami dają nam faktoidy, a nie fakty.

Począwszy od XVIII stulecia, stopniowo zaczął się kształtować nowy wzorzec. Państwa, uniwersytety i akademie utrzymywały wielkie biblioteki

¹¹ A. Blair, *Reading Strategies for Coping with Information Overload, ca. 1550–1700*, „Journal of the History of Ideas” 2003, Vol. 64, s. 11–28; N. Malcolm, *Thomas Harrison and His ‘Ark of Studies’: An Episode in the History of the Organization of Knowledge*, „The Seventeenth Century” 2004, Vol. 19, s. 196–232.

¹² D. Panofsky, E. Panofsky, *Pandora’s Box: The Changing Aspects of a Mythical Symbol*, New York 1956; wyd. pol. *Puszka Pandory. Metamorfozy znaczenia symbolu mitycznego*, przeł. R. Reszke, Warszawa 2010.

badawcze, które były w mniejszym lub większym stopniu dostępne dla publiczności. Te najambitniejsze oferowały swoim czytelnikom encyklopedyczny zalew książek i rękopisów. Cesarskie biblioteki zbierały informacje na temat całego świata, o czym wymownie przypominały kopuły, pod którymi skrywały się ich główne czytelnie. Pracujący w nich ludzie byli pionierami w dziedzinie zdobywania informacji. Nie tylko porządkowali oni książki na półkach, lecz także stworzyli liczne indeksy pomagające czytelnikom odnaleźć potrzebną informację – by wspomnieć choćby wieloletnie standardy wyznaczone przez drukowane katalogi British Library i Library of Congress.

Wiek XIX i XX były również świadkami szeroko zakrojonej demokratyzacji umiejętności czytania, co swego czasu pięknie opisał po części Jonathan Rose¹³. Tanie serie Everyman's Library czy Haldeman-Julius Little Blue Books sprawiły, że w domach klas pracujących pojawiły się inne książki niż Biblia czy Księga Męczenników. Publiczne biblioteki oferowały małe wysepki spokoju i druku pośród rozbudowujących się chaotycznych bloków mieszkalnych miast przemysłowych. Stare zasady sporządzania notatek straciły na znaczeniu, kiedy różnej maści słowniki, tezaury, encyklopedie i zbiory cytatów, które rozwijane były od XVIII stulecia, stawały się coraz bardziej powszechną częścią codziennego miejskiego życia. Tytuł użyty dla jednego z popularnych w Niemczech i Rosji podręcznych dzieł, *Leksykon konwersacyjny*, daje pewne wyobrażenie, co taka książka mogła dać czytelnikom, którzy – jak wielu bohaterów Czechowa – chcieli konwersować przez cały dzień na wszystkie tematy świata.

Żadna kolekcja, żadne encyklopedyczne dzieło nie mogło jednak zastąpić wszystkich książek i informacji związanych ze złożonym tematem. W latach czterdziestych XX wieku Fremont Rider, praktyk Ekstremalnego Bibliotekarstwa z Wesleyan University, prorokował, że tytuły mnożą się tak szybko, iż wkrótce zasypią nawet największy zbiór regałów. Rider wraz ze swoim wpływowym akolitą, Vernerem Clappem, dowodzili, że mikrofotografia mogłaby pomóc w pozbyciu się tego problemu. Wystarczyłoby, ich zdaniem, sfotografować książki, zmagazynować obrazy na kartach, a następnie pozbyć się zakurzonych, niszczących oryginałów. Katalog kartkowy w szufladach stałby się faktyczną biblioteką badawczą, która mogłaby trwać i nieustannie się rozrastać. Czytelnicy byłiby w stanie odnaleźć wszystko, czego by potrzebowali, w czystej i wygodnej formie, podczas gdy bibliotekarze mogliby zaprzestać budowania i utrzymywania drogich otwartych regałów¹⁴. Podobne projekty zaczęły się mnożyć. Niektóre z nich – jak Short Title Catalogue Eugene'a Powera, w ramach którego rozdystrybuowanych zostało 26 tys. wczesnych angielskich książek w postaci mikrofilmu – autentycznie zmieniły praktykę badawczą uczonych i studentów. W tym samym czasie inne firmy oferowały

¹³ J. Rose, *The Intellectual Life of the British Working Classes*, New Haven 2001.

¹⁴ F. Rider, *And Master of None*, Middletown 1955; *idem*, *The Scholar and the Future of the Research Library*, New York 1944; N. Baker, *Double Fold: Libraries and the Assault on Paper*, New York 2001.

odbiorcom teksty na mikrofilmach albo po prostu w postaci reprintów rzadkich lub podatnych na uszkodzenie tomów, tym razem wydanych już na papierze bezkwasowym. Począwszy od lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, biblioteki zaczęły mówić głosem sprzedawców, twierdząc, że są w stanie dostarczyć ogromną ilość materiałów odpornych na zniszczenie.

Skutki tych procesów okazały się dramatyczne. W miarę jak stare uniwersytety się rozrastały, a nowe powstawały w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, hojne fundusze pozwalały im na zakup wszystkiego, co było dostępne w postaci filmu, mikrofilmu lub reprintu, dzięki czemu w ciągu dziesięciu – piętnastu lat, i to czasami zupełnie od podstaw, powstawać mogły efektywne kolekcje. Wiele spośród ambitnych bibliotek wypracowało i wprowadziło w życie swoje własne programy. Nagle okazało się, że można było prowadzić poważne badania na temat zbiorów Biblioteki Watykańskiej nie tylko w Rzymie, lecz także w St. Louis, gdzie Rycerze Kolumba zgromadzili wielki korpus mikrofilmów; można było też studiować zbiory mediolańskiej Ambrozjany w Notre Dame w stanie Indiana. Po raz pierwszy w dziejach można było zostać ekspertem w dziedzinie bibliografii czy paleografii, wydawać teksty lub wydobywać fragmenty ze starych gazet i czasopism bez wychodzenia z domu w Kalifornii czy Kansas. (Uczni, rzecz jasna, starali się jak mogli ukryć ten fakt przed swoimi dziekanami, od których zależały fundusze na wyjazdy badawcze).

Powstałe w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych biblioteki oparte na mikrofilmach i reprintedach nigdy nie nabrały jednak całościowego charakteru. Komercyjne przedsiębiorstwa, które zajmowały się fotografowaniem tomów, w naturalny sposób koncentrowały się na materiałach, które dałoby się łatwo zbyć na rynku. Niedziałający dla zysku sponsorzy koncentrowali się z kolei na tekstach dla nich istotnych – tak było na przykład w wypadku katolickich instytucji zainteresowanych średniowiecznymi rękopisami łacińskimi. Nie objawiła się żadna logika, określająca, które teksty miałyby być wydawane ponownie na papierze, które filmowane, a które miały pójść w niepamięć. Wszystko to kosztowało o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie na początku wyobrazić. Niektóre projekty – zwłaszcza te, w których używano mikrofilmu – napotkały opór przy sprzedaży, w związku z czym część wczesnych wysiłków umarła w zarodku lub przeszła w stan uśpienia. Prosperujący niegdyś wydawcy reprintów skończyli jak Bussi i jego współnicy – zagrzebani w niesprzedanych książkach. I co najgorsze: niektóre z największych i najlepiej sfinansowanych projektów – zwłaszcza wielkie przedsięwzięcia, jak choćby fotografowanie gazet, których historię udokumentował Nicholson Baker – miały tragiczne konsekwencje. Tysiące oryginalnych niezwykle pięknych i interesujących dokumentów zostało fizycznie zniszczonych po tym, jak ich treść została przeniesiona na kliszę. Użytkownicy bibliotek, którzy niegdyś mogli delektować się arcyzmem *Little Nemo in Slumberland* Winsora McCaya drukowanych na kolorowych stronach „New York Herald”, zezowali teraz na czarno-białe obrazy na niewyraźnych ekranach. W tym nowym

darwińskim ekosystemie rewolucja fotograficzna skarłowaciała – w wielu bibliotekach także pod względem fizycznym – od szeroko zakrojonego projektu mającego zmienić sposób, w jaki wszyscy czytają i pracują, aż do jednego pomieszczenia, w którym doktoranci, wykładowcy i niecodziennie pracownicy studenci ślęczeli nad tekstami, gotowi je czytać nawet w tak zniechęcającej, czarno-białej postaci. Złożona przez Ridera obietnica świata informacji składającego się z elegancko ułożonych kart zrodziła tysiące rolek filmu, którymi trzeba kręcić i nawigować, żeby móc cokolwiek przeczytać. To lekcja godna przypomnienia w momencie, kiedy wchodzimy w nową epokę gwałtownych zmian i wielkich obietnic¹⁵.

Imperium Google

Obecna epoka digitalizacji, bez wątpienia, przewyższa poprzednią epokę mikrofilmu zarówno pod względem ambicji, jak i osiągnięć. Wtedy niewiele osób prywatnych miało czytniki mikrofilmów czy mikrofisz, podczas gdy obecnie najpoważniejsi czytelnicy w krajach rozwiniętych mają dostęp do komputerów stacjonarnych czy laptopów oraz łącza internetowego. Zmiany tym spowodowane są oczywiste. Nawet najbardziej tradycyjnie usposobieni badacze, stając wobec konieczności sprawdzenia daty, faktu lub tekstu, zaczynają na ogół nie od pójscia do zawalonego encyklopediami i podręcznikami działu z księgozbiorem podręcznym, ale od skorzystania z wyszukiwarki. „Skromnie licząc – oświadczył mi radosny redaktor z Cambridge University Press – 95 procent wszystkich poszukiwań badawczych zaczyna się od Google”. I ma to sens: Google, najbardziej nerdowska ze wszystkich korporacji, ma swoje korzenie w świecie książek. Jak głosi tradycja ustna, założyciele Google zaczęli od planu stworzenia elektronicznej bazy danych książek znajdujących się na Uniwersytecie Stanforda i zwrócili się ku sieci tylko dlatego, że w tym czasie oferowała ona o wiele mniejszy rozmiar próbki. Co więcej, słynny algorytm wyszukiwania Google emuluje zasadę cytacji naukowej. Za pomocą podliczania i oceny wcześniejszych linków wyszukiwarka kieruje użytkowników do źródeł, które zostały uznane przez innych za pomocne. Pod pewnym względem hipernowoczesny mechanizm wyszukiwania nie przypomina nic innego, jak właśnie nieprzebraną masę przypisów w starym stylu. Podobnie jak przypisy mówią nam, gdzie poszedł autor, aby wydobyć przywoływane przez siebie fakty i cytaty, tak Google mówi nam, gdzie udała się większość ludzi pragnąca dowiedzieć się tego samego co my.

Przez ostatnie lata Google i jego konkurenci pracowali nad uderzająco ambitnymi projektami, mającymi na celu przekształcenie sposobu, w jaki czytelnicy odnajdują książki. Nawet skala tego przedsięwzięcia jest trudna do oszacowania. Ostrożne oceny mówią o 32 milionach książek wydanych w ciągu

¹⁵ N. Baker, *op.cit.*

historii; w Google są jednak obecnie przekonani, że mogło ich być około 100 milionów. Firma współpracuje z wydawcami – obecnie jest około 10 tysięcy tak zwanych partnerów Google rozproszonych po całym świecie – po to, aby dostarczali informacji o aktualnie wydawanych książkach, łącznie z ich próbkami dla wszystkich czytelników w sieci. Podobnie postępuje kilka konkurencyjnych przedsiębiorstw. W miarę jak Google, Amazon i Barnes & Noble rywalizują między sobą, sieć stała się wielką, żywą księgarnią online. Każdy posiadacz laptopa może obejrzeć obwoluty, przeczytać *blurby* z okładki i wybierać spośród okładek ograniczonej grupy książek, które nadal można jeszcze kupić. Cambridge University Press, które stało się partnerem firmy w roku 2004, odnotowuje 500 tys. wejść na swoją stronę pochodzących od internautów, którzy zaczęli swoje poszukiwania od Google lub Google Books. Innymi słowy, około dwóch trzecich potencjalnych klientów najstarszego wydawcy świata zaczyna od wyszukiwarki Google, a nie od jego oficjalnej strony internetowej.

Drugie, nawet większe przedsięwzięcie – Google Library Project – doprowadziło do współpracy korporacji z wielkimi światowymi bibliotekami. Opierając się na zbiorach bibliotek uniwersytetów Stanforda, Harvarda, stanu Michigan, NYPL i wielu innych, Google digitalizuje tyle książek, których nakłady zostały wyczerpane, ile tylko zdoła. Wyjątkowym wysiłkiem jest – jak opisuje to sama firma – próba „zbudowania wyczerpującego indeksu wszystkich książek świata”. Co więcej, ten indeks pozwoli czytelnikom na przeszukiwanie wszystkich zawartych w nim książek i zobaczenie treści tych, które nie są już objęte prawami autorskimi. Google Books jest naszą współczesną wersją planu Fremonta Ridera – wyhodowaną na sterydach, i to pod naszymi nosami: stanowi listę książek, która będzie uniwersalna pod względem zakresu, ogólnodostępna i do której będą dołączone pełne teksty.

Trudno oszacować, jak wiele materiałów jest udostępnianych z miesiąca na miesiąc i co zostanie udostępnione w ciągu następnych kilku lat zarówno tym, którzy badają odległą przeszłość Trzeciego Świata, jak i tym zajmującym się w pierwszej kolejności teraźniejszością. Projektowi Google towarzyszą inne wielkie przedsięwzięcia. Niektóre mają w dużej mierze charakter filantropijny, jak stary dobry Projekt Gutenberg, który dostarcza wprowadzonych ręcznie na klawiaturze, przejrzystych i łatwych w użyciu tekstów angielskich i amerykańskich klasyków, albo jak Million Book Project, ufundowany przez Raja Reddy’ego z Carnegie Mellon University. Reddy współpracuje z partnerami z całego świata, aby między innymi dostarczać wydania online tekstów w językach, dla których nie ma jeszcze oprogramowania rozpoznającego znaki.

Dodać należy jeszcze mniejsze przedsięwzięcia związane z bardziej wyspecjalizowanymi obszarami. Przykładowo Perseus, niezwykle użyteczna strona działająca w Tufts University, zaczynała od greckich i łacińskich tekstów, a teraz obejmuje również dzieła angielskiego renesansu. Czytelnicy mogą skorzystać online ze słowników, podręczników gramatyki i komentarzy w miarę jak próbują się przedrzeć przez oryginały. Istnieją również nowe komercyjne

projekty, jak choćby Alexander Street, który oferuje bibliotekom pięknie przygotowane elektroniczne kolekcje wszystkiego – od „Harper’s Weekly” po listy i pamiętniki amerykańskich imigrantów. Nawet największe biblioteki, dzięki elektronicznym listom elektronicznych źródeł umieszczonych na ich stronach, rozrastają się szybciej i to w o wiele bardziej zawrotny sposób, niż Borges był w stanie to sobie wyobrazić. Stało się już czymś niemożliwym dla zwykłych badaczy dotrzymanie tempa podstawowym sieciowym źródłom – i to mimo że „D-Lib Magazine”, elektroniczne czasopismo, pomaga im, eksponując strony bibliotek, które wykonują szczególnie dobrą robotę na rzecz organizacji cyfrowych zasobów i kolekcji, podobnie jak rzeczywiste biblioteki, które miały kiedyś w zwyczaju ogłaszać nabycie spuścizny jakiegoś pisarza czy zbioru książek w pięknych oprawach.

Wielu bibliotekarzy patrzy na te postępy z życzliwą aprobatą. Kristian Jensen jest wytwornym, hiperelokwentnym kuratorem zbiorów wczesnych starych druków w British Library, który pracował razem z Microsoftem przy zarzuconym już obecnie projekcie digitalizacji olbrzymich zbiorów dziewiętnastowiecznej literatury. Zazwyczaj posługuje się precyzyjnym i trzeźwym stylem, jednak kiedy zaczyna mówić o perspektywach stojących przed bibliotekami cyfrowymi, rozpala się. „Nie możesz nie być entuzjastą” – mówi na myśl o wszystkich tych materiałach udostępnionych nauczycielom i studentom w uniwersytetach oraz szkołach na całym świecie. Jednym ze sposobów na zobaczenie, co Jensen ma na myśli, jest odwiedzenie strony Online Computer Library Center i spojrzenie na jego mapę świata (WorldMap). Stworzona z wyobraźnią aplikacja wiąże z sobą liczby książek znajdujących się w publicznych i akademickich systemach na całym świecie, kraj po kraju. Wystarczy poprosić system o pokazanie, jak wiele książek narody całego świata przechowują w publicznych bibliotekach, a zobaczy się związki pomiędzy północną i południową półkulą, zachodnimi państwami a ich dawnymi koloniami, wszystko to zaprezentowane za pomocą wyraźnych kolorów. 60 milionów Brytyjczyków ma do dyspozycji 116 milionów książek w bibliotekach publicznych, podczas gdy 1,1 miliarda Hindusów ma 36 milionów woluminów¹⁶.

Światowa bieda jest innymi słowy w równym stopniu reprezentowana przez brak drukowanego słowa co przez niedobór żywności: oznacza to, że obywatele wielu państw nie mają dostępu do ich własnej literatury i historii, a tym bardziej – do informacji na temat innych krajów. Internet w czasie swojej krótkiej historii nie zdążył jeszcze przyczynić się do zniesienia tej nierównowagi. W roku 2005, kiedy siedziałem w pokrytej blaszanym dachem, niewyobrażalnie nagrzejonej kafejce internetowej w Afryce Zachodniej i usiłowałem odpowiedzieć na pytania przesłane przez moich amerykańskich studentów, na ekranie mogłem znaleźć jedynie jakieś strzępy informacji, podobnie zresztą jak moi benińscy współtowarzysze. Obecnie można już znaleźć o wiele więcej lepszych cyfrowych źródeł, nawet na powolnym komputerze w Naititingou.

¹⁶ Dla WorldMap OCLC zob. <http://www.oclc.org/research/projects/worldmap/default.htm> [dostęp: 13.08.2008].

W miarę jak kapilarny wzrost elektryfikacji dociera do coraz mniejszych miasteczek, w miarę jak kafejki internetowe pojawiają się w małych azjatyckich, afrykańskich i południowoamerykańskich miastach i w miarę jak Google oraz jego rywale wypełniają sieć konkretnymi tekstami, mapa wiedzy ulega metamorfozie. Ze wszystkich rzeczy kapitalizm oznacza demokratyzację dostępu do książek w niespotykanym do tej pory tempie.

Kazin kochał New York Public Library, ponieważ każdy mógł z niej skorzystać. Wśród jego towarzyszy z czytelnicy byli nie tylko tacy elegancyści uczeni jak Hofstadter, ale dzikie postaci niczym wzięte żywcem z fotografii Weegee'ego przedstawiających Nowy Jork nocą

[...] drobny mężczyzna z jednym puklem włosów zaczesanym w poprzek łysej głowy, niczym generał MacArthur [...] pochylający się z bladym uśmiechem nad rozmieszczonym w sześciu kolumnach hebrajskim, greckim, łacińskim, angielskim, francuskim i niemieckim tekstem Biblii

czy

[...] koścista, brzydka, wrzaskliwa szalona kobieta, która przypominała mi jedną z bohaterek Maksyma Gorkiego, udręczoną starą panną, która miała osobistego skrybę spisującego najpierw jej namiętne listy do kochanka, a następnie piszącego jego odpowiedzi¹⁷.

Nawet Kazin ze swoją demokratyczną wyobraźnią nie mógł przewidzieć nowego sieciowego świata informacji wraz z jego hordami obecnych i przyszłych użytkowników. Internet nie może wykarmić milionów ludzi, nie jest też w stanie ochronić ich przed AIDS czy powodzią, jednak mógłby nakarmić nieograniczoną liczbę głodnych umysłów Paine'em, Gandhim, Wolterem czy Wollstonecraft i klasykami innych kultur, podręcznikami nauk oraz zawodów w tuzinach języków. Konsekwencje mogą przypominać trzęsienie ziemi i okazać się większe, głośniejsze oraz głębsze, niż jesteśmy w stanie to teraz przewidzieć.

Jak już widzieliśmy, niektóre wpływowe postaci królestwa książek obawiają się tych projektów, ponieważ myślą, że przyczynią się one wyłącznie do światowej hegemonii języka angielskiego. Google zaczęła względnie od swojego podwórka, pracując najpierw z anglojęzycznymi wydawcami oraz brytyjskimi i amerykańskimi kolekcjami. Jednak wielkie amerykańskie i brytyjskie biblioteki, które współpracowały na początku z Google, są wypełnione książkami we wszystkich językach świata. Paul Leclerc, dyrektor NYPL i entuzjastyczny od samego początku partner Google Books Project, zauważa, że połowa z milionów książek znajdujących się w NYPL została napisana w językach innych niż angielski, spośród nich zaś wiele jest w językach azjatyckich, słowiańskich i afrykańskich. Richard Ovenden, który współpracuje z Google z ramienia oxfordzkiej Bodleian Library, zauważa z kolei, że miliony książek,

¹⁷ A. Kazin, *op.cit.*, s. 7.

które będą zdigitalizowane, zostały napisane w jakichś czterdziestu językach. W tym samym czasie biblioteki w całej Europie i w innych zakątkach świata podpisują swoje własne umowy partnerskie z Google. Ta internetowa masa starych i nowych tekstów nie będzie wyłącznie strefą języka angielskiego.

Co więcej, technologie internetowe są ciągle rozwijane i wiele spośród wprowadzanych zmian ułatwia użytkownikom orientację w tej powodzi informacji i wyłowienie w niej właściwej książki czy artykułu. Rozważmy funkcję wyszukiwania – ten proces polowania, zbierania, łączenia informacji, który w naszym imieniu wykonują Google, Yahoo czy Ask. Na początku mechanizm wyszukiwania wykorzystywał „szperacza” – w rzeczywistości stacjonarną jednostkę – który szukał odpowiednich stron w zmagazynowanej, nieco już przestarzałej wersji sieci. Dwa różne mechanizmy wyszukiwania nie dały nigdy dokładnie tych samych rezultatów, chociaż przeglądarka Google wyszukiwała więcej użytecznych stron niż jej rywale i osiągnięcie to zapewniło mu miejsce jedynego mechanizmu wyboru na wielu oficjalnych stronach internetowych. Jednak nawet „robot” Google ślizgał się po powierzchni niczym fotograf mody. Informował użytkownika sieci jedynie o ok. 5 procentach treści oznaczonej w pożądanym sposobie na wierzchnich warstwach stron internetowych. Żeby jednak znaleźć materiały zagrzebane w tak przepastnych korpusach faktów i dokumentów, jak strona Biblioteki Kongresu czy JSTOR (obszerne repozytorium artykułów z czasopism akademickich), trzeba było przeprowadzać dynamiczne, skoncentrowane poszukiwania z wykorzystaniem strony i zadawaniem konkretnych pytań albo zlecić je specjalistycznej firmie, takiej jak Bright Planet, która w imieniu swojego klienta zadawała to pytanie tysiące razy.

Jednak w ostatnich latach każdy, kto regularnie używa Google, wie, że szperacze stały się bardziej doświadczone w zadawaniu pytań, a firmy poszukiwawcze najwyraźniej skłoniły wielkie strony do lepszego przystosowania do formułowanych pod ich adresem zapytań. Specjalistyczne narzędzia, takie jak Google Scholar, potrafią rozróżnić ze zdumiewającą precyzją między tym, co adekwatne i nieadekwatne, między informacją z pierwszej ręki a jej pochodną. Narzędzia internetowe nie oferują już wyłącznie coraz większej liczby informacji każdego dnia, ale też skuteczniejsze sposoby formułowania precyzyjnych zapytań. Jednym z moich ulubionych jest lista „statystycznie nieprawdopodobnych fraz” [*statistically improbable phrases*, SIP] w każdej książce. Wystarczy kliknąć w jedną z nich, a Amazon zabierze cię do listy innych książek, w których występuje ta sama wysoce niecodzienna kombinacja wyrazów – to szybki sposób zbadania powiązań, których jeszcze nie zrobili poprzedni nabywcy. Twój miejscowy bibliotekarz nadal zna więcej sztuczek na znajdowanie informacji niż ty i to zarówno w książkach, jak i w sieci, jednak potęga mechanizmów wyszukiwania rośnie i trudno wyobrazić sobie, czym będą za dziesięć czy dwadzieścia lat.

Mimo wszystkich swoich zalet, Google Library Project w swojej obecnie działającej formie zebrał wiele mieszanych recenzji i jest to zrozumiałe.

Google udostępnia czytelnikowi zeskanowaną wersję książki. Jest ona zazwyczaj poprawna i nadaje się do czytania, mimo że pojedyncze strony mogą być zamazane lub niewyraźne, a operatorzy skanerów czasami opuszczają jakieś strony lub skanują je nie po kolei. Czasami też skanowany egzemplarz jest niedoskonały. By przedstawić to w duchu filmu *Życie biurowe* [*Office Space*]: przynajmniej jeden nasz akademicki znajomy zobaczył jakąś część ciała zeskanowaną razem z tekstem. Inne problemy są jednak poważniejsze. Google używa systemu optycznego rozpoznawania znaków do stworzenia drugiej wersji, z której korzysta jego mechanizm wyszukiwający i z tym procesem wiążą się różne dziwne przypadki. W oświetlonym przez słońce skryptorium kopista mógł omyłkowo wziąć „u” za „n” lub odwrotnie. Co ciekawe, komputer popełnia te same pomyłki. Kiedy wpisze się w Google Book Search „qualitas” – termin ważny dla filozofii średniowiecznej – uzyska się prawie 2 tysiące wystąpień. Jeśli jednak wpisze się nieistniejące „qnalitas”, uzyska się dodatkowych 600 rekordów „qualitas”, których nie znalazłoby się po prawidłowym wpisaniu terminu. To całkiem sporo „qnalitas”. Jeśli chcecie uzyskać wyobrażenie o pełnych rozmiarach problemu, sięgnijcie po Google’owską wersję niemieckiej książki wydrukowanej frakturą – starą spiczastą czcionką – i przełączcie się na czysty tekst, czyli tekst wykorzystywany do wyszukiwania. W wielu wypadkach system pokaże wam całe strony czystego bełkotu. Znaczące jest to, że niemieckie słowo używane na określenie nauki i humanistyki, „Wissenschaft” często występuje przypadkowo jako „Wiffenschaft”. Nie można przewidzieć, czy błędy pojawiające się w takiej skali zostaną kiedykolwiek wyeliminowane – podobnie jak to, czy będą kiedyś poprawione w całości tysiące błędów w katalogach wielkich uniwersyteckich i publicznych bibliotek, które wkradły się przy przekształcaniu ich w bazy danych.

Poważne problemy dotyczą także metadanych, czyli informacji na temat informacji, które Google udostępnia swoim użytkownikom. Katalogowa informacja identyfikująca dowolny przedmiot jest często niekompletna lub mylna. Wielotomowe dzieła mogą być trudne w użyciu, ponieważ wyszukiwarka Google na początku traktowała je jako pojedyncze obiekty (ta polityka najprawdopodobniej uległa zmianie, być może w związku ze skargami użytkowników – myślącego, działającego roju). Również słowa kluczowe używane przez Google do scharakteryzowania poszczególnych książek są czasami niezamierzenie komiczne. To nie jest wcale takie pomocne, kiedy myślisz o wykorzystaniu starego Baedekera jako przewodnika po Paryżu i kiedy przypadkiem dowiadujesz się, że jednym z głównych pojęć tam występujących jest *fauteuil*. Możliwości wystąpienia błędów i pojawienia się okazji do narzekań są praktycznie nieograniczone. Badacze, których zainteresowania są drobiazgowo precyzyjne i filologiczne, będą skłonni, opierając się na swoich doświadczeniach, koncentrować się na tych niedociągnięciach¹⁸.

¹⁸ Zob. R. Townsend, *Google Books: What's Not to Like?*, „AHA Today”, 29 April 2007 oraz <http://blog.historians.org/articles/204/google-books-whats-not-to-like> i dyskusja pod artykułem [dostęp: 13.08.2008].

Prawdą jest, że dzięki Google oraz konkurencji historycy społeczni i kulturowi zajmujący się okresem od połowy XVIII do początku XIX stulecia znaleźli ogromną i rozrastającą się intelektualną beczkę miodu. Bez wychodzenia z domu mogą szukać informacji na dowolny temat – od języka polityki po nadejście nowych technologii – w bazach danych większych niż te, których historycy kiedykolwiek wcześniej używali. Tam, gdzie detale związane z edycją znaczą mniej od czystej liczby łatwo dostępnych, na ogół wiarygodnych informacji lub tam, gdzie istnieje wyłącznie jedna, dziewiętnastowieczna edycja – tam digitalizacja już dokonała przewrotu. Niesamowitym doświadczeniem jest wykładanie na temat dobrze (ale nie doskonale) sobie znanych tekstów literackich z wykorzystaniem dającego się przeszukiwać tekstu z Google Books na laptopie. I jest coś niezwykle w fakcie, że można siedzieć w gabinecie w małym college’u sztuk wyzwolonych lub *community college* i ściągnąć – tak jak jest to już obecnie możliwe – tysiące książek w dziesiątkach języków, podczas gdy najbliższa materialna kopia znajduje się setki mil od nas.

W beczce miodu może się jednak znaleźć łyżka dziegciu. Chociaż Google twierdzi, że udostępnia wszystkie teksty książek nieobjętych prawami autorskimi, w rzeczywistości nie można ściągnąć lub nawet przeczytać wielu tego rodzaju tekstów. System pozwala nam zobaczyć jedynie trzy mgławicowe paski druku (z pewnością niezawierające dokładnie tego fragmentu, którego się potrzebowało), które pokazuje w wypadku książek objętych prawami autorskimi. Podobnie jak Erazm, Google jest hojnym, ale zarazem zawodnym, przewodnikiem po świecie książek.

Pewna analogia może pomóc w wypukleniu osiągnięć i ograniczeń Google. W drugiej i trzeciej dekadzie XX wieku Archibald Cary Coolidge nadzorował budowę i organizację Widener Library Uniwersytetu Harvarda, największej na świecie kolekcji książek naukowych. Podobnie jak twórcy Google, pracował on na wielką skalę, celowo budując zbiory składające się nie tylko z rzadkich i słynnych dzieł, lecz także z „pism, które nie są ani wielkie, ani modne”, ponieważ były one, jego zdaniem, istotne „dla tła i wypełnienia”. Podobnie jak Google, podkreślał konieczność uczynienia książek tak dostępnymi, jak to tylko możliwe, zarówno poprzez stworzenie biblioteki zdolnej pomieścić miliony woluminów, jak i przez jak najszybsze ich skatalogowanie. Jednak Coolidge – jak odnotował William Bentinck-Smith – „wiódł książkowe życie. Bez nich czuł się samotny. W młodości podróżował przez Azję z całą skrzynią wypełnioną książkami”, a później czytał, przechadzając się po wiejskich okolicach¹⁹. Kiedy Coolidge zabrał się do tworzenia uniwersalnej biblioteki, nie zaczął po prostu kupować książek na tony. Zamiast tego szukał po całym świecie spójnych kolekcji, które uzupełniłyby zbiory Biblioteki Widenera o owe obszary wiedzy, gromadząc w ten sposób systematycznie zasoby dla bieżących i przyszłych badań. Jego kierownicza inteligencja oraz zainspirowani przez niego pomocnicy i darczyńcy odegrali kluczową rolę

¹⁹ W. Bentinck-Smith, *Building a Great Library: The Coolidge Years at Harvard*, Cambridge, MA, 1976.

w stworzeniu z Widener Library wyjątkowo wydajnej maszyny służącej do pracy badawczej; jej katalogi były tak dokładne, jak obszerne były jej zbiory. Projekt Google Library ma w założeniu być autentycznie uniwersalny, czego nie jest w stanie osiągnąć żadna materialna biblioteka – nawet Widener. Brakuje mu jednak nadrzędnej idei, która przyświecała Coolidge’owi, i przez to działa w mniejszym stopniu jak spójny mechanizm zamawiający, a bardziej niczym gigantyczny wąż gaśniczy, zalewający czytelników całego świata tekstami nietkniętymi przez ludzkie dłonie i umysły. Google mógłby zrobić dla czytelników o wiele więcej, gdyby tylko korporacja zaprosiła do udziału w projekcie współczesnych odpowiedników Coolidge’a – mistrzów zarówno wirtualnego świata informacji, jak i zmysłowego, materialnego świata rzeczywistych książek, którzy zaplanowaliby i ukształtowali tę wirtualną bibliotekę. W chwili obecnej jednak nic nie wskazuje na to, aby firma widziała przyszłość tego przedsięwzięcia w takich właśnie kategoriach.

Co więcej, w ostateczności ogólne warunki wyznaczają granice, które Google i konkurenci mogą osiągnąć w najbliższym czasie. Epoka mikrofilmów pokazała, że projekty reprodukcyjne na wielką skalę są realizowane w momencie, gdy podejmują się ich albo państwowe instytucje pragnące zachować dziedzictwo przeszłości lub je udostępnić ludziom, albo przedsiębiorstwa, które chcą zarobić. Jak dotąd nowe internetowe firmy działały szybciej i – w przeciwieństwie do francuskiej Biblioteki Narodowej – postawiły na dostarczanie ogromnej liczby książek, które użytkownicy mieli sobie dobrać i wykorzystywać, a nie na digitalizację wybranych uprzednio, dobrze znanych tekstów. Jednak nawet eleganckie i mające szeroki zasięg mechanizmy Google nie są w stanie wrzucać do sieci książek szybciej, niż pozwolą im na to zasilające je góry pieniędzy. W końcu Google zdigitalizuje tylko tyle, ile pozwolą mu odpowiednie wpływy, co podkreślił ostatnio Microsoft, ogłaszając decyzję o odstąpieniu tego pola Google. Oznacza to, że zamierzają oni pozostawić ogromną liczbę ważnych książek nietkniętą.

Na każdym zakręcie Google i jego rywali spotykają techniczne i ekonomiczne problemy, które ograniczają ich swobodę działania. Jedną z ostatnio najczęściej dyskutowanych trudności jest ta związana z prawami autorskimi. Google szacuje, bardzo powierzchownie, że obecnie dostępnych jest w druku od 5 do 10 procent znanych książek. Ponad 20 procent to tytuły wydane od wynalezienia druku w XV stuleciu do roku 1923 – te nie podlegają prawu autorskiemu. Reszta – być może 75 procent kiedykolwiek wydrukowanych książek – to „sieroty”, nadal chronione przez bardzo długie programy praw autorskich, obowiązujące w Europie i Ameryce Północnej, których nakłady jednak nie są już dostępne i które niespecjalnie mają jeszcze jakies znaczenie. Na wzór Biblioteki Aleksandryjskiej konfiskującej zwoje ze statków, Google po prostu skanuje ich tyle, ile jest w stanie, mimo że nie ma prawa tego robić. Ta część projektu pozostaje wysoce kontrowersyjna. Grono wydawców używających Google do promowania swoich nowych książek złożyło pozew przeciwko firmie, w wyniku którego nie mogłaby ona skanować książek ob-

jętych prawami autorskimi bez uzyskania formalnej zgody – a to jest dosyć zniechęcająca perspektywa. W obecnej chwili Google nie udostępnia tych dzieł w całości, a niedawne porozumienie pozwala jedynie na pokazywanie użytkownikom większych fragmentów takich książek.

Google nie ma też żadnych pilnych planów dotyczących skanowania książek pochodzących z pierwszych stuleci druku. Zapytani, dlaczego tak jest, informatycy czasami tłumaczą, że krucha natura tych tomów utrudnia ich skanowanie. To niedorzeczne: większość wczesnych książek jest – dzięki solidnemu szmacianemu papierowi, na którym zostały wykonane, i chwalebnyemu rzemieślniczemu zdolnościom ich wytwórców – o wiele mniej wrażliwa od dziewiętnastowiecznych powieści drukowanych masowo na drzewnym papierze pulpowym, teraz wysuszonych i łamliwych, które skanery Google kopiują setkami. Prawdziwy powód ma charakter komercyjny. Rzadkie książki wymagają specjalnych warunków kopiowania, a te z nich, które mogły przyciągnąć wielu zainteresowanych, zostały już udostępnione przez takie firmy, jak Chadwyck-Healey i Gale. Ci potomkowie wydawców mikrofilmów sprzedają potężne kolekcje bibliotekom i uniwersytetom za znaczne kwoty. Early English Books Online (EEBO) oferuje 100 tysięcy tytułów wydanych między rokiem 1475 a 1700, z których 25 tysięcy można przeszukiwać pełnotekstowo. Eighteen Century Collections Online dostarcza z kolei dające się przeszukiwać teksty 150 tysięcy książek, liczących sobie łącznie 33 miliony stron. Masywne łacińskie tomy i druki ulotne, które spłynęły z pras drukarskich w czasach rewolucji purytańskiej, podręczniki szkolne, jakobińskie tragedie z notatkami suflerów i polityczne pamflety oszalałych diggerów są dostępne w swojej oryginalnej postaci dla każdego użytkownika głównej akademickiej biblioteki – w Nowym Jorku, Londynie, Syracuse czy Sydney. Google zdecydowanie nie będzie eksplorować tego obszaru.

Inne szerokie i żywe sektory światowej produkcji książek nie są ani skatalogowane, ani udostępnione na stronie, a jeszcze mniej zostało udostępnionych do digitalizacji. Materiały z najuboższych społeczeństw nie przyciągają zbyt wielu firm opierających swoją działalność na subskrypcjach i reklamie. Kraje, w których nawet działający w dużych miastach kupcy nie przyjmują kart kredytowych, nie przysporzą ani zamówień sieciowym sprzedawcom, ani przyływu gotówki Google. Jednym z możliwych rezultatów obecnego wyścigu digitalizacyjnego jest powstanie nowej wersji istniejących już nierówności pomiędzy Północą i Południem, dawnymi metropoliami i byłymi koloniami. Pozbawieni książek mieszkańcy Afryki subsaharyjskiej i większość mieszkańców Indii będą w stanie przeczytać dzieła Zachodu na dowolnym ekranie. O wiele mniej pewne jest to, czy będą oni w stanie znaleźć i przeczytać teksty w swoich własnych językach.

Niezależnie od tego, co wydarzy się na ekranie, wielkie biblioteki zachodniej półkuli pozostaną niezastąpione jeszcze przez długi czas. Jedną z największych korzyści wynikających z komputeryzacji będzie możliwość ustalenia lokalizacji książek, których ludzie będą potrzebować. Zdumiewające jest to,

że wśród setek milionów książek w bibliotekach amerykańskich college'ów i uniwersytetów, zazwyczaj znajduje się nie więcej niż pięć egzemplarzy dowolnej książki napisanej w języku innym niż angielski. Google zawsze opisano jako firmę, która pokazuje użytkownikom sposób znajdowania potrzebnej im informacji, ale niebędącą jednocześnie głównym jej dostawcą. Jak to ujął za pomocą ostrożnie dobranych słów Jim Gerber, dyrektor działu Content Partnerships: „Chcemy mieć pewność, że czytelnicy potrafią znaleźć książki”. Firma wykonuje tę pracę bardzo dobrze – i byłoby głupotą z naszej strony, gdybyśmy oczekiwali od jej dyrektorów, że podejmą się dalszych zadań bez dodatkowych opłat.

W ten sposób perspektywa zapisu całej historii wydaje się jeszcze bardziej odległa. W teorii zbiory dzielą się na dwie kategorie. W bibliotekach przechowywane są książki i rękopisy literackie, podczas gdy w archiwach trzymane są dokumenty – szerokie spektrum papierów, pieczęci i innych materiałów należących do prawników, notariuszy, urzędników państwowych, sklepów i korporacji całego świata, które powstały w toku ich działalności. W praktyce kategorie te się zamazują – i tak było zawsze. Wszystkie wielkie biblioteki mają w swoich zbiorach mnóstwo dokumentów. Większość archiwów posiada robocze biblioteki, a niektóre z nich są bardzo duże i cenne. Należy pamiętać, że jeśli planuje się zachować wszystkie dostępne ludzkie doświadczenia, tak jak wyobraża to sobie większość koryfeuszy digitalizacji, powinno się udostępnić w sieci oba rodzaje zbiorów.

Prawdą jest, że w sieci udostępniono już miliony dokumentów. Dostępne online wpisy Patent and Trademark Office są krainą czarów dla każdego zainteresowanego poznaniem geniuszu i obłędu amerykańskich majsterkowiczów. Dzięki działającemu *non profit* achiwum Aluka, badacze i pisarze z Afryki mogą badać w sieci rosnącą liczbę afrykańskich dokumentów, których oryginały są przechowywane gdzieś indziej i dla nich niedostępne. Historycy papieństwa mogą przeczytać dokumenty bez wyjeżdżania do Rzymu dzięki cyfrowej kolekcji uruchomionej przez Tajne Archiwum Watykańskie. Z kolei Biblioteka Kongresu przejęła inicjatywę na każdym polu – od digitalizacji dokumentów tak ważnych myślicieli jak Hannah Arendt aż po systematyczne gromadzenie oraz udostępnianie materiałów audio i wideo. Jej strona internetowa już teraz jest wspinałym, otwartym dla świata archiwum.

Tymczasem, indywidualna ciekawość i pasja doprowadziły do powstania wirtualnych archiwów na każdy dający się pomyśleć temat, czasami niepowiązany z żadną materialną kolekcją. Sieć umożliwiła dotarcie do dokumentów dotyczących różnych mędrców, od Thomasa i Jane Welch Carlyle'ów aż do Edwarda Saida, ogromnych zasobów politycznych poematów i komiksów, a nawet do abstrakcyjnego poletka, którym sam się zajmuję: łacińskiego piśmiennictwa epoki renesansu (wypróbujcie strony „White Trash Scriptorium” i „Philological Museum” – obie są niezastapione)²⁰.

²⁰ White Trash Scriptorium, <http://www.ipa.net/~magreyn> [dostęp: 13.08.2008]; Philological Museum, <http://philological.bham.ac.uk> [dostęp: 13.08.2008].

Jednak nawet największe spośród wymienionych projektów nie są niczym więcej jak tylko błyskiem światła na przepastnym i niezbadanym nocnym niebie udokumentowanej przeszłości ludzkości. Archiwum Indii w Simancas, wspaniały wykwit dręczącej hiszpańską monarchię obsesji zachowywania dokumentów, zawiera 86 milionów stron dokumentów. Z pomocą IBM zdigitalizowano obecnie 10 milionów stron. Uczeni i studenci, którzy pojadą do Simancas, mogą wykonać większość pracy przy monitorze, oszczędzając za jednym zamachem oryginały dokumentów i swój wzrok. Nie mogą jednak przeszukiwać lub uzyskać dostępu do tych stron zza granicy. ArchivesUSA, sieciowy przewodnik po amerykańskich archiwach, wymienia 5,5 tysiąca repozytoriów i przeszło 160 tysięcy kolekcji materiałów źródłowych. Same Archiwa Państwowe (The National Archives) zawierają 9 miliardów jednostek archiwalnych. Jest mało prawdopodobne, abyśmy w najbliższej przyszłości mogli zobaczyć w sieci kompletne archiwa Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej archiwa uboższych państw.

Ewentualna uniwersalna biblioteka, wraz ze swym towarzyszem, uniwersalnym archiwum, nie będzie zatem pozbawioną szwów masą książek, łatwo z sobą powiązanych i badanych łącznie, ale rodzajem patchworku wykonanego z różnych interfejsów i baz danych, spośród których jedne będą dostępne dla każdego, kto ma komputer i WiFi, a inne zamknięte dla tych, którzy nie mają do nich dostępu lub pieniędzy. Prawdziwym wyzwaniem jest obecnie to, jak należy wykreślić płyty tektoniczne informacji, które ścierają się z sobą, a następnie – nauczyć się nawigować po nowym krajobrazie, który one tworzą. Blaise Aguera y Arcas, do niedawna programista w Microsoft Live Labs i pionier wspomaganego komputerowo bibliografii (pełne ujawnienie: lata temu chodził na moje kursy w Princeton), sugeruje, że najlepszym sposobem myślenia o masach materiałów, które są zbierane w sieci, jest dzielenie ich na dwie części.

Pierwsza stanowi bibliotekę i kulturowe archiwum teraźniejszości. Google i konkurencja zebrali już o wiele większe kolekcje od tego, co do tej pory znał świat – zbiory wydanych książek i muzyki, sztuki i filmów powstałych mniej więcej od roku 1990. Choć firmy te nie przyznałyby się do ambicji pełnienia roli światowych repozytoriów, to właśnie tym się stały. Każda z nich jest w posiadaniu morza danych, książek, które zostały zeskanowane i przekształcone w dające się przeszukiwać dokumenty, a także obrazów i nagrań – wszystkie te pliki krążą cały czas na licznych, redundantnych serwerach, są w nieustannym ruchu i stale się je odświeża. Z czasem, gdy większa część tego materiału wyjdzie spod ochrony i stanie się dostępna (a tak się stanie), będziemy w stanie dowiedzieć się na temat naszej obecnej kultury rzeczy, których nie mogliśmy poznać w przeszłości. Nadal będziemy mogli czytać książki i analizować obrazy tak, jak zawsze to czyniliśmy, będziemy jednak analizować całą tę masę materiałów na nowe sposoby, wykorzystując te same techniki matematyczne, których obecnie używa Narodowa Agencja Bezpieczeństwa do wydobywania danych z naszych rozmów telefonicznych i e-maili.

Teraźniejszość wkrótce stanie się oszalałająco dostępna. Jest to ekscytująca perspektywa, jednak wiążą się z nią groźne implikacje. Czytelnicy oraz miłośnicy muzyki i sztuki już teraz większą wagę przykładają do współczesności niż przeszłości. Druga ogromna grupa materiałów – wielki zbiór źródeł na temat wcześniejszych epok, wiele z nich kompletnych, niektóre tylko cząstkowe, niektóre otwarte, inne dostępne za opłatą, która obecnie nabiera kształtu – nie będzie, przynajmniej nie w dającej się przewidzieć przyszłości, połączona w jedną, dostępną bazę danych. Ani Google, ani nikt inny nie dokona fuzji kolekcji wczesnych książek i lokalnych systemów stworzonych przez poszczególne archiwa w jedną, dostępną masę informacji. Chociaż odległa przeszłość będzie o wiele bardziej dostępna niż kiedykolwiek dotąd, to w technicznym sensie – kiedy tylko zostanie już uchwycona i zachowana w formie rozległej, pokawałkowanej mozaiki – w naszej kolektywnej świadomości może jeszcze szybciej zatrzeć się jej ślad.

Nadal będziemy potrzebować naszych materialnych bibliotek i archiwów. W pewien sposób w ciągu ostatnich dwudziestu lat zaczęliśmy rozumieć lepiej niż kiedykolwiek wagę i znaczenie starych archiwów zbudowanych z cegły i zaprawy. Historycy, badacze literatury i bibliotekarze uświadomili sobie – by ująć to słowami Johna Seely Browna i Paula Duguida – że informacja prowadzi swoje własne „życie społeczne”. Forma, za pośrednictwem której stykamy się z tekstem, ma ogromny wpływ na to, jak go używamy. Rozważmy najprostszy przykład. Jeśli chcesz sprawić, żeby ludzie uwierzyli, że dany oficjalny dokument – powiedzmy, list od dowódcy Powietrznej Gwardii Narodowej do młodego Teksaszczyka – jest prawdziwy, nie możesz podać po prostu ludziom jego słów. Musisz pokazać, że został on wysłany na właściwym rodzaju papieru, wprowadzony w standardowej formie i napisany na właściwej maszynie do pisania. Jedynym sposobem upewnienia się co do tego jest zobaczenie oryginału i porównanie go z innymi dokumentami, a w większości wypadków można to zrobić wyłącznie w archiwum, w którym są one przechowywane w wiarygodny sposób. W miarę jak poprawia się technologia skanowania, znaki wodne i inne istotne symbole stają się coraz bardziej dostępne dla oddalonych użytkowników. Naukowa i sądowa ekspertyza nadal jednak wymaga zapoznania się z oryginalnymi dokumentami.

Oryginalne dokumenty i książki wynagradzają nam trud ich odnalezienia, oferując opowieści, których nie jest w stanie przekazać żaden obraz. Duguid opisuje, jak obserwował swojego kolegę historyka obwąchującego w archiwum 250-letnie listy. Wyczuwając zapach octu, którym skrapiano listy wysyłane z miast opanowanych w XVIII wieku przez cholera w nadziei na ich dezynfekcję, mógł śledzić historię epidemii choroby²¹. Historycy książki, nowe i rosnące plemię, czytają książki niczym harcerze tropiący ślady. Oprawy – wykonane w większości na życzenie w pierwszych wiekach druku – mogą powiedzieć im, kto był ich właścicielem i do jakiej grupy społecznej należał. Adnotacje na marginesach, które przyrastały w stuleciach, kiedy czytelnicy

²¹ J.S. Brown, P. Duguid, *The Social Life of Information*, Boston 2000, s. 173–174.

zwyczajowo zasiadali do książek z piórem w rękę, ujawniają często zaskakujące informacje, które czytelnicy ci odnajdywali w trakcie lektury. Wielu oryginalnych pisarzy i myślicieli – jak choćby Marcin Luter, Hester Thrale Piozzi, John Adams czy Samuel Taylor Coleridge – wypełniło swoje książki notatkami, które są niezbędne do zrozumienia ich myśli. Tysiące zapomnianych mężczyzn i kobiet pokryły swoje Biblie i modlitewniki, zbiory receptur i politycznych ulotek rysunkami wskazujących dłoni, podkreśleniami oraz notatkami, które dają nam głęboki wgląd w znaczenie, jakie te książki dla nich miały, a także informują, w jaki sposób gotowali swoje posiłki, leczyli choroby i wypowiadali modlitwy.

Jeśli – jak czyni to obecnie wielu badaczy – pragnie się uchwycić to, w jaki sposób dana książka była opakowana i co znaczyła dla czytelników, którzy ją rozpakowali, należy popatrzeć nie tylko na wszystkie wydania, lecz także dotrzeć do wszystkich możliwych egzemplarzy, od oryginalnych rękopisów aż po tanie reprints. Bazy danych zawierają liczne kopie tych samych tytułów, ale nigdy nie dostarczą nam wszystkich kopii, powiedzmy, *Bogactwa narodów* Adama Smitha i wywołanych przez tę rozprawę wczesnych reakcji. Czasami procesy, za sprawą których materialne książki zostały przekształcone w elektroniczne teksty, sprawiły, że zostały one odarte z bogactwa informacji, których mogła dostarczyć ich oryginalna forma. Dla przykładu teksty dostępne w serwisie EEBO nie zostały zeskanowane z oryginałów, ale z mikrofilmów. Nie zostały zreprodukowane ich oprawy i nie ma pewności co do ich oryginalnych rozmiarów – a są to dwa wybitnie materialne zestawy tropów, których badacze nieustannie używają, aby ustalić, kto czytał lub mógł czytać daną książkę. Aby książki mogły przemówić, należy zadawać im pytania w ich naturalnym środowisku.

Kiedy firmy konkurują z sobą o najlepszą pozycję startową, udział w rynku i coś, co pionierzy „bańki internetowej” [*Dot Bomb*] nazwali „przewagą pierwszego poruszyciela” [*first mover advantage*], tworzą nowe projekty z wyobraźnią i werwą godną Fremonta Ridera. Niektóre z nich przywodzą na myśl wysiłki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zmierzające do umieszczenia wszystkiego na mikrofilmach, które wyrządziły tyle samo szkód, ile dały pozytywnych skutków, ponieważ ich twórcy i kierownicy ignorowali społeczne życie informacji. Do tej pory skanowanie nie wywołało jeszcze drugiego Wielkiego Niszczenia gazet, choć spowodowało pozbycie się wielu starych książek i czasopism. Jednak ludzie, którzy teraz wiszą u drzwi biblioteki, wydają się popełniać te same błędy, co spece od mikrofilmów w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Jednocześnie niektórzy bibliotekarze, jak ci z Emory University, zaczynają odwracać się od potencjalnych zainteresowanych, których plany biznesowe nie wyjaśniają w wystarczający sposób, dlaczego biblioteka miałaby przekazać firmie swoją własność intelektualną – mimo że inne instytucje, jak na przykład Princeton Theological Seminary, zgadzają się na to.

Publikowanie bez papieru?

Zmieniają się nie tylko warunki prowadzenia badań, ale w ogóle cały tradycyjny system pisania i publikowania – choć i tutaj sytuacja jest niełatwa do rozpoznania. Książki, magazyny, gazety i czasopisma naukowe nadal się ukazują. R.R. Bowker, firma z New Providence w stanie New Jersey opracowuje coś, co niegdyś było książką, a teraz jest bazą danych – zestawienie *Books in Print*. Według firmy,

[...] wydawcy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii i Nowej Zelandii w 2004 roku opublikowali 375 tys. nowych tytułów i edycji. [...] Jeśli włączyć do tego importowane wydania dostępne na wielu rynkach, ogólna suma nowych napisanych po angielsku książek będących w sprzedaży w anglojęzycznym świecie wnosila w 2004 roku wprawiającą w osłupienie liczbę 450 tysięcy²².

Wystarczy pójść do jakiegokolwiek księgarni firm takich jak Borders czy Barnes & Noble czy ich brytyjskich odpowiedników – Blackwell's i Waterstone's, a zaleją nas strugi błyszczących okładek nowych książek na dowolny temat – by nie wspomnieć o stertach czasopism.

W rzeczywistości fala nowych druków stanowi dla bibliotekarzy jeden z najpoważniejszych bieżących problemów. W Firestone Library Uniwersytetu w Princeton regały są już zapełnione. Roczny budżet biblioteki nie jest w stanie pokryć kosztów zakupu nowych książek i czasopism, których domagają się uczeni, a które często kosztują ciężkie funty lub euro. Media elektroniczne, nowy system szybkiego pożyczania książek z pobliskich bibliotek i elektroniczne dostarczanie artykułów pochłaniają pieniądze, które niegdyś wydano by na tradycyjne media. Niemniej jednak każdego roku biblioteka dołącza do swoich zbiorów przeszło milę nowych drukowanych materiałów. Ta masa druku dynamicznie wkrada się do budynku, niczym taran wykonany z papieru i bukramu. Wypycha starsze materiały – czasami rzadkie i cenne – do przestrzeni magazynowych, niszcząc w ten sposób tradycyjny układ kolekcji, która służyła badaczom przez pokolenia, ukształtowana w rodzaj przestrzennego teatru pamięci. Niczym uczeń czarnoksiężnika, pracownicy administracji i profesorowie wyczarowali tyłu aktywnych, młodych badaczy piszących dysertacje, artykuły i książki, że zagrażają oni zadławieniem bibliotek, a wraz z nimi – wiernym strażnikom podstaw wiedzy.

Czasopisma stwarzają jeszcze większe problemy. W teorii czasopisma naukowe oferują swoim czytelnikom najnowsze dane i hipotezy badawcze – czyli rzeczy najpilniej potrzebne uczonym. Jednak koszty prenumerat wyraźnie wzrosły. Wydawnictwo Elsevier, o którym się mówi, że jest największym niekomercyjnym wydawcą naukowym świata, twierdzi, iż służy „globalnej wspólnocie uczonych, na którą składa się 7 tysięcy redaktorów, 70 tysięcy

²² Zob. http://findarticles.com/articles/mi_m0EIN/is_2005_Oct_12/ai_n15686131 [dostęp: 13.08.2008].

członków redakcji, 300 tysięcy recenzentów i 600 tysięcy autorów”. Za roczną prenumeratę jednego ze swoich czasopism, „Brain Research”, Elsevier liczy 21,744 dolarów, na co mogą sobie pozwolić tylko najbogatsze biblioteki. Oczywiście, katalogowanie, oprawianie i wynajdywanie przestrzeni dla tej pleniącej się masy nowych druków również wiąże się z ogromnymi kosztami. Prawdą jest, że nowe bazy danych oferują dostęp do tysięcy artykułów. Badacz humanista dzięki JSTOR może buszować wśród przeszło 600 czasopism z dziedziny sztuki, humanistyki i nauk społecznych bez wstawania od biurka. Project Muse, druga niekomercyjna instytucja działająca przy John Hopkins University Press, oferuje dostęp do bieżących i ostatnio wydanych artykułów z prawie 400 głównych czasopism. Wiele bibliotek rozwiązało swoje problemy przestrzenne – choć już nie finansowe – przez rezygnację z prenumeraty drukowanej na rzecz elektronicznej, co pozwala ich kadrze i studentom na znalezienie oraz czytanie potrzebnych im tekstów szybciej i łatwiej niż mogliby to zrobić w epoce druku. Jednak takie bazy danych są dostępne jedynie dla tych, którzy pracują w instytucjach badawczych. Ci, którzy znajdują się poza tymi uprzywilejowanymi strefami – wśród nich wielu dziennikarzy i pisarzy – są wysoce pokrzywdzeni i mają doskonałą świadomość tego faktu.

Historycy wiedzą, że rewolucje są często powodowane nie przez opresję czy katastrofę, ale przez wzrost oczekiwań. Uczni i naukowcy coraz bardziej i bardziej oczekują, że znajdą wszystko w sieci. Wykładowcy donoszą, że studenci odmawiają wypraw do biblioteki: artykuły dostępne tylko w formie papierowej są nieczytane, nawet jeśli należą do klasyki. W tym samym czasie władze polityczne skarżą się (skądinąd słusznie), że komercyjne czasopisma strzegą dostępu do królestwa badań naukowych opłacanego z publicznych funduszy i osiągają jeszcze przy tym ogromny zysk. Wielu dowodzi, że czasopisma akademickie – i wszystkie uczelniane wydawnictwa – powinny zapewniać wszystkim pełnotekstowy dostęp do swoich materiałów. W wypadku badań medycznych Kongres zdecydował, że wszystkie 80 tysięcy artykułów powstałych każdego roku dzięki wsparciu z National Institutes of Health ma być umieszczone w PubMed, otwartej federalnej bazie danych rok po ich ukazaniu się.

Władze Wydziału Sztuk i Nauk Uniwersytetu Harvarda poszły nawet dalej. Zdecydowały, że wszyscy pracownicy powinni umieszczać swoje prace na otwartej stronie internetowej. Wydawcy mający zamiar opublikować pracę profesora z Harvardu będą musieli po prostu pogodzić się z faktem, że jakaś wersja tego artykułu jest już dostępna w sieci dla całego świata albo pozwolić profesorowi opublikować plik PDF z redakcją i składem właściwymi dla czasopisma. Nie mogę wypowiadać się w imieniu czasopism i redaktorów z obszaru nauk przyrodniczych. Pracuję jednak jako jeden z czterech redaktorów „Journal of the History of Ideas” („JHI”), który liczy już sobie 69 lat. Otrzymujemy z kolegami około 200 artykułów rocznie. Każdy artykuł jest czytany przez dwóch spośród nas, a te, które są naszym zdaniem oryginalne, zostają przesłane do dalszej oceny wykonywanej przez dwóch specjalistów

– lub trzech, jeśli dwaj pierwsi różnią się w ocenie. Recenzje artykułów są niemal zawsze bardzo rzeczowe, a częstokroć całkiem długie i szczegółowe. W wielu wypadkach pomagają nam w udzieleniu pomocy autorom – zawierają sugestie, w którym miejscu i dlaczego należałoby zmodyfikować pewne twierdzenia, przebadać dodatkowe źródła lub wykorzystać dodatkową literaturę przedmiotu. Kiedy zostaną dokonane zmiany, nasz jedyny pełnoetatowy pracownik, który zarządza przepływem plików, redaguje tekst, podobnie czyni jeden z czterech redaktorów. Pomyłki zdarzają się cały czas. Jak to William Shawn stwierdził na temat „New Yorkera”: „Dorastanie do doskonałości jest procesem, który nigdy nie ustaje”²³. Jednak większość naszych autorów – i większość czytelników, którzy nadal prenumerują nasze czasopismo lub korzystają z niego w bibliotekach – wydają się zgadzać co do tego, że dodajemy istotną wartość do artykułów, które akceptujemy do druku i publikujemy.

Czterej redaktorzy „JHI” nie otrzymują wynagrodzenia. Również bez wynagrodzenia pracują dziesiątki recenzentów czytających artykuły na naszą prośbę. Pokrywamy za to koszty biura redakcji w Philadelphii, ponieważ nasz gospodarz, University of Pennsylvania, podobnie jak wiele czołowych uniwersytetów badawczych, odmawia inwestowania jakichkolwiek środków w to przedsięwzięcie. Płacimy sekretarzowi redakcji, który czuwa nad obiegiem plików, ściga recenzentów i autorów rozmijających się z terminami, redaguje teksty. Płacimy za doroczne spotkanie członków pełnego kolegium redakcyjnego, których praca wykracza poza rolę darmowych recenzentów i doradców. Płacimy wreszcie uniwersytetowi za skład, produkcję i dystrybucję „JHI” – zarówno papierową, jak i elektroniczną. Papierowa wersja czasopisma utraciła stopniowo prenumeratorów, jednak odpłatne usługi JSTOR i Project Muse z roku na rok zaczęły przynosić więcej dochodów – wystarczająco dużo, żeby pokryć straty z pierwszego tytułu. A cała ta struktura, która umożliwia nam pomaganie autorom w tworzeniu najlepszych prac według ich możliwości – struktura oparta na recenzowaniu i redakcji – zależy od tego strumienia gotówki.

Wynosząca 40 dolarów (30 dla studentów), a w wypadku instytucji 110 dolarów, roczna prenumerata nie wydaje się nam zbyt wygórowana w porównaniu z innymi nakładami na naukę. Jeśli zastosujemy model oparty na otwartym dostępie i pozwolimy czytelnikom na nieodpłatne korzystanie z wszystkich zasobów lub zgodzimy się na model częściowy, w którym autorzy będą publikować teksty w sieci zanim je zatwierdzimy, nasze przychody znikną. To spowodowałoby z kolei, że nie byłibyśmy w stanie zaakceptować lub odrzucić większości artykułów w ciągu trzech miesięcy od ich nadesłania, tak jak czynimy to teraz, lub zredagować tekstów, które chcemy wydrukować, lub wreszcie zapłacić za elegancki, czytelny skład.

To prawda, byłoby możliwe stworzenie innego systemu, w ramach którego możliwe stałoby się osiągnięcie podobnych celów. Czasopisma rozpowszechniane wśród członków towarzystwa mogą wykorzystywać składki członkow-

²³ V. Mehta, *Remembering Mr Shawn's New Yorker: The Invisible Art of Editing*, Woodstock, NY, 1998, s. 338.

skie do pokrycia kosztów, których nie pokrywają wpływy z prenumerat, a wiele z nich zaadaptowało politykę otwartego dostępu. My jednak nie mamy towarzystwa. Uniwersytet, który służy jako gospodarz czasopisma, mógłby pokryć podstawowe koszty. Jednak w dzisiejszych czasach większość uniwersytetów badawczych konsekwentnie odmawia podjęcia się takiego zobowiązania: faktycznie jest tak dlatego, że nie uważają one tego przedsięwzięcia za prestiżowe czy warte zachodu. Przychody z reklam wspierają czasopisma o dużych nakładach, w miarę jak coraz bardziej przenoszą one swoją działalność do sieci: jednak ani Daimler-Benz, ani Dior nie uważają czytelników naszego czasopisma za swoich potencjalnych klientów. Tak długo jak nasza czwórka będzie jeszcze widzieć, otwarty dostęp będzie potwierdzał ponure proroctwa Roberta Conquista i Kingsleya Amisa: „Więcej będzie znaczyć gorzej”.

Ten drobny przykład sugeruje kilka większych problemów, które niesie z sobą transformacja naszych mediów. Komputer umożliwił bardzo wczesne rozpoczynanie pisania – być może zbyt wczesne – w trakcie prowadzenia badań. Redaktorzy wspierają system *peer review*, który uniemożliwia publikację substandardowych prac i zmusza wszystkich naukowców, niezależnie od tego, jak bardzo są utalentowani, do wysłuchania uzasadnionej rady zanim ogłoszą światu swoją pracę. Masa bezpośrednich publikacji w sieci stworzyła fantastyczną nową sferę publiczną – i fantastyczną nową ogromną ilość niezgrabnej i nieortograficznej prozy. Redaktorzy proszą autorów, żeby drugi i trzeci raz spojrzeli na to, co napisali – żeby rozjaśnili, wypolerowali, poprawili. Stanowimy cienką granicę chroniącą czytelników i autorów przed pierwszym impulsem. Praca ta jest ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej; naukowcy obecnie zamieszkują środowisko, które pozwala im na pisanie na podstawie czegoś, co socjolog Andrew Abbott nazwał badaniami „w czasie” – to znaczy opartymi na zasadzie „chwycić i porwij” rajdami przez dostępne w sieci źródła, do których sięga się w trakcie pisania; raczej już nie ma talii porządnie spisanych fiszek, które kompilowało się jeszcze pięćdziesiąt lat temu²⁴. Zastosowane przez Uniwersytet Harvarda szeroko zakrojone rozwiązanie problemów, wobec których stanęły biblioteki i studenci, przynosi w niektórych obszarach dobre skutki. Jednak w humanistyce spełnienie żądania, aby każdy artykuł stał się natychmiast dostępny za darmo w sieci, zmusi nas do rezygnacji z wartościowych form i standardów. W tym nowym świecie czasopisma staną się blogami z przypisami: nieredagowane teksty, błyszczące przenikliwością, a jednocześnie pełne błędów niewychwyconych przez wprawne oko, po których rozpoczynają się wściewe, skatologiczne dyskusje. Świat humanistyki potrzebuje odświeżenia, a nie przekształcenia w jeszcze jedną prowincję sfery publicznej, która już istnieje w sieci i służy zaspokajaniu nieco innych potrzeb.

Niektórzy z najmocniejszych rzeczników digitalizacji wydają się witać to zjawisko życzliwie – albo przynajmniej transformację form prozatorskich, która razem z nim by nastąpiła. Gregory Crane, twórca bazy Perseus, przed-

²⁴ Dla artykułów A. Abbotta na temat bibliotek i badań zob. <http://home.uchicago.edu/~abbott/booksandpapers.html> [dostęp: 13.08.2008].

stawia przyszłość, w której naukowcy będą przedstawiać swoje dane nie w formie tradycyjnego, niefikcyjnego piśmiennictwa – artykuły czy książki, ale w mniejszych, „granulkowych” jednostkach, które użytkownicy sieci będą mogli dowolnie łączyć na nieskończoną ilość sposobów. Kristian Jensen z British Library zgadza się, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Zauważa, że gdy pisze się z myślą o Internecie, w sposób naturalny dzieli się swoje myśli na małe tekstualne monady, a nie tradycyjne linearne formy. W przeciwieństwie jednak do Crane’a, Jensen martwi się o rezultaty. Obawia się on mianowicie, że napływ tekstów do sieci może towarzyszyć – lub nawet pomóc – w wywołaniu rewolucji w formach uwagi, która uszkodzi lub nawet wyeliminuje tradycyjne formy argumentacji i pisania. Podobnie jak linia kolejowa zagroziła katedrze, tak teraz intelektualna paczka z przekąskami zagraża kuchni *slow food*.

Nie jest jeszcze jasne, czy publikacje sieciowe przekształcą pisanie tak radykalnie, jak przedstawiają to Crane i Jensen. Krytycy i wyznawcy zgadzają się co do jednej cechy publikacji w sieci: mianowicie co do jej nowej formy. Tradycyjna książka lub czasopismo przedstawiają w tle jedną historię, którą opowiada główny narrator. Nawet najbardziej agresywny czytelnik musi się dostosować do danej mu formy tekstu. I nawet najobszerniejsze oraz najbardziej zajadłe odręczne komentarze oplatają monumentalny drukowany tekst niczym bluszcz obrastający kolumnę.

Dla kontrastu, strony internetowe kładą taki sam nacisk na obrazy i na słowa, ułatwiając o wiele bardziej ruchy w bok, aniżeli posuwanie się do przodu. Zwolennicy ponaglają czytelnika, aby odrzucił kule tradycyjnej fabuły i wątku na rzecz samorozwijających się zakrętów i skoków cechujących tę nową formę lektury. Podkreślają, że proteuszowy tekst sieci, który może się zmienić z godziny na godzinę w miarę jak wybucha kryzys polityczny lub nadchodzi huragan, pasuje do współczesnej kondycji życia, wraz z jej brakiem stałych przekonań, a nawet brakiem stabilnych ludzkich podmiotowości. Podobnie przekonują oni, że strony internetowe – na które można natknąć się przypadkiem, poszukując artykułu czy obrazu, a które zachęcają czytelników do odzewu – odpowiadają rozproszonej naturze współczesnego życia o wiele lepiej niż stabilne, drukowane media. Inni zauważają, że ta nowa forma lektury jest nie tylko dynamiczna, lecz także interaktywna. Autorzy mogą liczyć odwiedziny ich artykułu zamieszczonego w sieci; czytelnicy mogą wykorzystać hiperlink przy nazwisku autora do wysłania e-maila z odpowiedzią. Wątki dyskusyjne umożliwiają wszystkim toczenie rozległych dyskusji na temat prowokacyjnego felietonu lub recenzji. W swojej najbardziej intensywnej postaci dyskusje te przekształcają się w nową formę wspólnoty lektury i pisania: wspólnoty, której członkowie wywierają nacisk na wybór i sposób traktowania tematów, czyniąc w ten sposób sieć interaktywną. Tym sposobem „Talking Points Memo” (TPM), liberalny serwis polityczny kierowany przez Josha Marshalla, zatrudnia kilku reporterów, ale jednocześnie opiera się na lokalnych wiadomościach nadsyłanych przez czytelników z całego kraju.

Podczas huraganu „Katrina” czytelnicy TPM pracujący dla rządu federalnego dostarczali serwisowi wiadomości o takim stopniu precyzji i fachowości, którego nie była w stanie osiągnąć żadna gazeta ani serwis informacyjny.

Dla kontrastu, krytycy starają się okryć hańbą wiele spośród cech tych nowych tekstów: od samego faktu, że część z nich zbyt wiele uwagi poświęca wyglądowi projektu, podczas gdy ich słowa przepisane są z wyłączonych spod prawa autorskiego źródeł lub pochodzą od „dostawców treści”, aż do wszechobecnych marginesów z reklamami. Podkreślają, że powszechność takich fragmentarycznych, labilnych tekstów może zagrozić – lub nawet podważyć – opartą na druku zdolność do uchwytowania złożonych argumentów i myślenia o nich, która wydaje się kluczowa dla zachowania żywej liberalnej demokracji. Argumentują też, że wzrost licznych małych wspólnot sieciowych przyczyni się do podważenia większej wspólnoty społecznej, w której wszyscy żyjemy.

Zwolennicy i krytycy w równym stopniu wyolbrzymiają nowość przemian, które przyniosła z sobą sieć. Nowe media dekad przełomu XIX i XX wieku przekształciły sposób prezentacji tekstów równie radykalnie jak sieć. Gazety ukazywały się regularnie w wielu wydaniach, natychmiastowo przynosząc najbardziej aktualne nagłówki i wiadomości. W Berlinie pod koniec XIX wieku jedna z głównych gazet mogła być wydrukowana, spakowana i wysłana do dystrybucji w ciągu 18 minut od przesłania wiadomości do głównego biura redakcji. Istnienie kilku wydań tego samego dnia oznaczało, że gazeta jest w stanie śledzić ważną historię – jak na przykład poszukiwanie uciekającego mordercy – akt po akcie. Czasami, rzecz jasna, redaktorzy sami promowali – lub nawet tworzyli – tego rodzaju wieści. „Berliner Zeitung” wysłał na przykład w miasto dziennikarza, zachęcając jednocześnie czytelników do złapania go, co było efektywnym sposobem utrwalenia czytelniczego zainteresowania i przywiązania, a co błyskotliwie przywołał Graham Greene w *Brighton Rock*. Kioski, słupy ogłoszeniowe i kawiarnie sprawiały, że każda kolejna nowa edycja była dostępna dla czytelników. Jak pokazał to Peter Fritzsche, miasto samo przemawiało, wypływając na swoich mieszkańców niekończący się strumień opowieści i wrażeń zmysłowych²⁵.

Czasopisma, rzecz jasna, nie były tak zmienne jak gazety: ich treść ustalano w każdej cotygodniowej czy comiesięcznej edycji. Jednak ogromne przychody uzyskane z reklam i wolniejszy rytm wydawniczy pozwoliły im na jeszcze bardziej zróżnicowane eksperymenty ze sposobami przedstawiania tekstu i reklam. Redaktorzy nieśmiało próbowali uczynić z nich spójne dzieła sztuki: już nie niczym nie zakłócone bloki tekstów, ale artystyczne kombinacje słów i obrazów. William Dean Howells, opisując w wydanej w roku 1890 powieści *A Hazard of New Fortunes* powstanie fikcyjnego czasopisma „Every Other Week”, pokazał, jak redaktor i właściciel uzmysławiają sobie, że muszą zatrudnić dyrektora artystycznego. Ten w rezultacie zamówił – jak to nazwał Howells – „graficzne komentarze” odpowiednie do każdej historii.

²⁵ P. Fritzsche, *Reading Berlin 1900*, Cambridge, MA, 1996.

Ostatecznie *Gesamtkunstwerk* amerykańskiego czasopisma przyjęło konkretną, komercyjną formę. Wydawcy nauczyli się, że mogą tak długo obniżać ceny sprzedaży w prenumeracie i w kiosku, jak długo uda się im sprzedawać wystarczająco dużo reklam, żeby nadrobić straty generowane przez każdy egzemplarz czasopisma. Richard Ohmann i inni pokazali, że w miarę jak reklama stała się bardziej profesjonalna, redaktorzy zaczęli współpracować z reklamodawcami i wytwórcami produktów, zamieniając swoje magazyny w *magasins* w znaczeniu francuskim: zbiory atrakcyjnych produktów, niektórych do czytania, innych do kupienia – podobnych raczej do katalogu Searsa z tego samego okresu. Zachęcali czytelników do poważnego zainteresowania się reklamami, ogłaszając konkursy na nowe hasła reklamowe, tworząc serie kolekcji reklamowych, które można było wycinać z czasopisma i zbierać w albumach, a nawet pozwalając autorom na wzmianki o konkretnych produktach w ich tekstach. Najważniejsze jest to, że forma magazynu zmutowała, kiedy redaktorzy wprowadzili nową praktykę „strumienia reklam”. Podobnie jak strony internetowe, czasopisma używały reklam do generowania strumienia przychodów i przyjęły jako standardową formę długą wstążkę tekstu, która rozwijała się pomiędzy kolorowymi reklamami, wymagając od czytelników, aby wypracowali nowe umiejętności.

Doświadczony czytelnik nauczył się wkrótce, jak należało „konsumować” każdy magazyn: nie w jednej, jednolitej postaci, jak stare, uczone kwartalniki, które konfrontowały czytelników z olbrzymimi blokami tekstu, ale jako kolekcję materiałów dających się używać do różnych celów. Na początku lat pięćdziesiątych jeden czytelnik napisał do redakcji „New Yorkera”, że każdy egzemplarz czasopisma

[...] jest wykorzystywany tak efektywnie, jak wieprzowina w rzeźni. Okładki idą do albumu z wycinkami, komiksy i dowcipy są spinane i wysyłane do brata w Korei, a fikcja i recenzje książek są rozdawane wśród mniej szczęśliwych znajomych, którzy zasłużyli sobie na moją dobrą wolę²⁶.

Niektórzy krytycy ubolewali nad faktem, że ilustrowane gazety i czasopisma, zaprojektowane dla świata, w którym „rytm życia uderza krótko i mocno”, nie wytworzyły „spokojnej i skoncentrowanej uwagi” i „poddania się” oczekiwanego od prawdziwego czytelnika. Odnotowywali z żalem, że redakcje czasopism skupiły się na informacji wizualnej, ponieważ umożliwiała ona wywieranie „wpływu” w czasach, gdy życie jest zbyt gwałtowne, aby ludzie mogli czytać (obie uwagi zostały sformułowane w latach dwudziestych przez niemieckich krytyków lamentujących nad amerykanizacją niemieckiej kultury czasopiśmiennej). Osobliwie znajomy język tych krytycznych uwag przypomina, że nasz krajobraz medialny zachowuje – i zachowa – elementy, które już były znane kilka pokoleń wstecz.

²⁶ M. Corey, *The World Through a Monocle: The New Yorker at Midcentury*, Cambridge, MA, 1999, s. 15–16.

Gazety i czasopisma z początku stulecia nie miały tej niemal całkowitej elastyczności współczesnej strony internetowej, a ich czytelnicy nie mogli przeskakiwać od jednego linku do drugiego. Jednak charakteryzująca je mieszanka komercji i kultury, połączenie tego, co poważne, z treściami przyziemnymi i ich zdolność do szokowania czytelników nowościami zostały szeroko rozpoznane – i czasami równie mocno potępione – przez współczesnych, podobnie jak dzieje się to w wypadku analogicznych cech sieci. Podobnie jak sieć, nowe czasopisma i gazety zachęcały czytelników do tego, aby postrzegali siebie jako członków wspólnoty. Świadczenia wskazują, że częstokroć im się to udawało. W ramach badań czytelnictwa zebrano informacje na temat odzewu publiczności; listy czytelników identyfikowały konkretne historie i artykuły jako kontrowersyjne lub cenne i to czytelnicy czasopism tak odległych, jak „Saturday Evening Post” i „New Yorker” zapowiadali przedłużenie prenumerat, ponieważ – jak pisali do ostatniego z nich – mówiły one to, „co myśleli i czuli”, a poza tym, jak stwierdzali, „to musi być dobre, bo zgadzamy się ze wszystkim, co mówicie”. Jak pokazało studium „New Yorkera” napisane przez Mary Corey, wśród autorów takich listów byli: kurator muzealnej kolekcji ptaków, urzędnik ONZ, redaktor, lekarze, szeregowcy, angielska wojenna panna młoda, były członek chóru chłopięcego – stanowili oni grupę o wspólnym zainteresowaniu, a jednocześnie różnili się jak nigdy dotąd²⁷. Pod pewnymi względami świat pisma nie tyle uległ przekształceniu, ile powrócił do upiornego, szybszego symulakrum mediów sprzed półwiecza.

W przeciwieństwie do tego, świat poważnej lektury faktycznie się zmienia, i to na dwa powiązane z sobą sposoby. W miarę jak czytelnicy uzyskują prywatny, niezależny od miejsca dostęp do skarbów zamkniętych kiedyś w British Library i NYPL, mogą oni zostać w domu w swoich piżamach zamiast wlec się – niczym przyciśnięci do ściany dostawcy treści z *New Grub Street* George’a Gissinga – do Ciemnej Doliny Książek. Poza tym nawet w najlepszych latach dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej biblioteki miejskiej, najwięksi uczeni – na przykład historyk Leopold von Ranke czy socjolog Werner Sombart – wykonywali większość pracy, wykorzystując swe ogromne prywatne kolekcje. W Berlinie, gdzie profesorowie byli sówicie opłacanymi osobami publicznymi, mogły one obejmować 300 tys. książek. Trudno nie odczuwać przyjemności na myśl, że Google jest w stanie umożliwić ubogim doktorantom naśladowanie wczorajszych mandarynów i pracę tam, gdzie im się podoba.

Wielkie miejskie i uniwersyteckie biblioteki przez długi czas były jednak amerykańskimi centrami kulturowymi – żłobkami Kazinów i Hofstadterów. Tradycyjnie zajmowały one największe budynki publiczne, będące materialnym, publicznym świadectwem potęgi książki. Prowadzenie swoich poszukiwań w takich miejscach było formą nauki rzemiosła. Bibliotekarze, starsi naukowcy i doktoranci wymieniali się nieformalnymi poradami. Własne sposoby zbierania informacji przez bibliotekę – jak na przykład wspaniałe karty tematyczne w starym katalogu NYPL – kierowały czytelników w stronę nie-

²⁷ *Ibidem*, s. 15.

samowitych odkryć. A zobaczenie takich sław, jak Frank Manuel czy Barbara Tuchman mogło poruszyć studenta i pozostawić go w przekonaniu, że ciężką pracą można wydobyć się z Ciemnej Doliny prosto na Parnas.

Kilka spośród dużych amerykańskich miast wybudowało niedawno duże, centralne biblioteki. Ich formy bieżą od neostylu Beaux-Arts, celebrującego tradycyjną kulturę książki, po jasne, szklane, otwarte centra miejskie. Jak wskazał Witold Rybczynski w niedawnym eseju wizualnym, opublikowanym na łamach „Slate”, ciężkie fasady i eleganckie, sterylne czytelnie bibliotek w Chicago i San Francisco wydają się krzyczyć do publiczności, która nie okazuje im zainteresowania: „Książki nadal się liczą! Conan Bibliotekarz nadal rządzi!”. Dla kontrastu, nowsze biblioteki w Seattle i Kansas City są modnymi, urzekającymi budowlami, które świadomie porzucają tradycję. Rem Koolhaas nigdy nawet nie wyposażył swojego zigguratu w Seattle w czytelnię. Budynki te przyjmują tłumy złożone z różnorodnych osób: od doktorantów przez turystów po bezdomnych²⁸.

Lekcja, którą wyciąga Rybczynski, jest prosta. Jak głoszą niektórzy prorocy, książkom upłynął najprawdopodobniej termin ważności. Biblioteki jako takie to dinozaury skazane na zagładę. Jeśli jednak zbuduje się naprawdę atrakcyjny budynek i nazwie go biblioteką główną – a będzie to centrum z naturalnym oświetleniem, interesującymi przestrzeniami i sklepem z komiksami, jak nowa biblioteka w Salt Lake City, to klienci do niego przyjdą. Nie dla książek, ale dla ekscytacji i kontaktu z ludźmi, który może zapewnić tylko wspaniała przestrzeń publiczna. Innymi słowy, biblioteki mogą przetrwać. Jeśli jednak będą upierać się przy swojej pierwotnej misji, zamienią się w olbrzymie, eleganckie okręty widma, żeglujące samotnie przy włączonych wszystkich światłach i bez pasażerów na pokładzie. Jeśli jednak administratorzy zadecydują, że mogą ocalić biblioteki przez wymiecenie wszystkich zakurzonych, starych książek do zamiejscowych magazynów i wypełnienie swoich przepastnych galeryjnych przestrzeni kawiarniami i szybkimi komputerami, które mogą ściągnąć znowu tłumy, to te skarbcze zdegradują się do roli większych wersji Starbucksa czy Barnes & Noble: będą wspaniałymi przestrzeniami publicznymi, do których ludzie przyjdą po to, żeby skorzystać z elektronicznych źródeł, dostępnych właściwie wszędzie. Żadna z tych perspektyw nie wydaje się pożądana i żadna z nich nie przywróci bibliotece starej funkcji jako centrum kształtowania rzemiosła badawczego.

Co więcej, w miarę jak książki są wywożone do zamiejscowych magazynów, sama lektura wydaje się zagrożona. Gazety i czasopisma z przełomu XIX i XX wieku koegzystowały z bardziej stabilnymi formami pisma – przede wszystkim z książką poważną – i zakładały wyższość zaangażowanego, dojrzałego badania tekstów nawet wówczas, gdy nie zajmowały się ich promowaniem. W przeciwieństwie do nich hiperłącza i mechanizmy wyszukiwujące wydają się symbolizować osobiście ponowoczesny sposób traktowania tekstów:

²⁸ W. Rybczynski, *How Do You Build a Public Library in the Age of Google?*, „Slate”, 27 February 2008.

szybki, powierzchowny, zawłaszczający i indywidualistyczny. Czytelnicy nie muszą panować nad katalogami, chodzić wśród regałów, używać bibliografii – a tym bardziej nie muszą przekopywać się przez sterty książek. Wszystko, co teraz muszą zrobić, to wprowadzić słowo lub dwa do Google i skompilować wyniki. Niektórzy obawiają się, że stara pamięć uczonych, przechowywana w tekstach nie tylko czytanych, lecz także analizowanych i przekształcanych w kościec oraz rozgrywana w starym stylu gra czytelnika z powieściami i poezją, badanymi przez lata, ustąpiły miejsca niekończącemu się brikolazowi, mozaikom zbieranym przez studentów i pisarzy znających tylko fragmenty tekstów, które wydobywają z ekranów.

Posłuchajcie na przykład, jak Jonathan Barnes, specjalista od starożytnej filozofii, opisuje, co komputerowa baza *Thesaurus Linguae Graecae* (TLG) – dające się przeszukiwać, pełnotekstowe archiwum greckich tekstów – zrobiła dla jego dziedziny:

Uruchom TLG na swoim laptopie, a uzyskasz dostęp do całej greckiej literatury. Wycinasz i wklejasz urywki z autorów, których imiona nic dla ciebie nie znaczą. Stwierdzasz – i masz rację – że konkretne słowo użyte przez Platona pojawia się w greckiej literaturze 43 razy. I możesz napisać artykuł – lub nawet książkę – wypchany kolosalną wiedzą. (Dla łaciny są podobne rzeczy). [...] TLG jest uroczym, małym źródłem (myślę, że to dobre słowo) i używam go cały czas. Jest jednak niczym mowa ładacznicy: pochlebia i zwodzi. „Jaką masz wielką wiedzę, mój koguciku – może zrobimy z ciebie prawdziwego uczonego?” I młody kogucik pieje na swoim gumnie: może zacytować wszystko i niczego nie zbudować²⁹.

Opis syreniego śpiewu TLG nie dostarczy przyjemności nikomu, kto spędza na przykład czas, oceniając prace lub pracę młodych autorów. Dwieście tytułów skompilowanych przez jednego przedsiębiorcę, Philipa Parkera, z pomocą algorytmów i zespołu programistów stanowi przedsmak okropnej przyszłości.

Skróty opisywane z miążdzącą pogardą przez Barnes'a nie wiążą się wyłączenie z filologią klasyczną: w rzeczywistości stanowią one przykład charakterystycznego dla naszej epoki sposobu traktowania tekstu. Raport zlecony niedawno przez British Library i Joint Information Systems Committee przedstawia szczegółowo praktyki czytelnicze współczesnych studentów i wykorzystuje aktualne dane dotyczące wyszukiwania. Większość studentów zaczyna poszukiwanie informacji od Google, a nie od strony biblioteki, na której można znaleźć listę bardziej wyrafinowanych wyszukiwarek. Korzystający ze stron z e-bookami zostają na nich przez około 4 minuty. Prawdą jest też, że czytelnicy e-czasopism pozostają na stronie dłużej, bo przeciętnie 8 minut. Jednak około 60 procent z nich patrzy na nie więcej niż trzy strony artykułu, a większość nigdy już nie powraca na daną stronę. Lektura sieciowa w wykonaniu studentów opiera się na krótkim zanurzeniu, krzyżowym sprawdzaniu i ślizganiu się po powierzchni – jest dokładnie tak, jak kraczą tradycjoniści.

²⁹ J. Barnes, *Bagpipe Music*, „Topoi” 2006, vol. 25, s. 17–20, tu: s. 18.

Przyszłość czytania

Zarówno teraz, jak i w dającej się przewidzieć przyszłości każdy poważny czytelnik będzie musiał wiedzieć, jak podróżować równoległe kilkoma ścieżkami. Nikt nie powinien omijać szerokiej, gładkiej i otwartej drogi, która wiedzie przez ekran do elektronicznego rajy tekstów i obrazów. Jeśli jednak chcesz poznać jedną z opisanych przez Coleridge'a książek lub dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda wczesny zeszyt „Spidermana”, albo chcesz po prostu przeczytać jedną z milionów książek, które są zeskanowane, ale jeszcze nie można ich otworzyć i przeczytać – nadal musisz to zrobić starym sposobem i jeszcze przez kilka dekad będziesz musiał. Pracownicy ukochanej przez Kazina New York Public Library uwielbiają media elektroniczne. Biblioteka ta udostępniła w sieci setki tysięcy obrazów ze swoich zbiorów, a Google digitalizuje przeszło milion tomów z ich kolekcji. NYPL zrobiła to jednak ze świadomością, że jej zbiory obejmują 53 miliony jednostek. Żeby mieć pewność, że jak najwięcej z nich znajdzie swoich potencjalnych czytelników, musi posadzić ich na stołkach i położyć przed nimi książki i dokumenty.

Kiedy Paul Holdengräber, nowojorski ambasador zaginionych europejskich królestw nauki, organizuje występy podczas „Live from the New York Public Library”, których tysiące ludzi słuchają potem w formie podcastów, lub gdy David Ferrerio, który zarządza codziennie systemem biblioteki, otwiera po raz pierwszy główny oddział dla dzieci, mają oni przed oczami kilka celów. Jednym z nich jest dostarczenie potrzebnych nowojorczykom mediów elektronicznych w scenerii, która jest nie tylko uporządkowana i spokojna, lecz także zachęcająca do skorzystania. Drugim – nie mniej ważnym – jest utrzymanie przy życiu książek i rękopisów przez ciągłe kształtowanie demokratycznej publiczności, która po nie przyjdzie.

Usiądź w pobliskiej kawiarni, a twój laptop wiele ci powie, zwłaszcza jeśli posłużysz się prawidłowo słowami kluczowymi. Jeśli jednak pragniesz głębszej, bardziej szczegółowej wiedzy, nadal musisz obrać węższą ścieżkę, która wiedzie po schodach pomiędzy lwami. Tam – jak w największych bibliotekach świata – będziesz korzystał cały czas z najnowszych źródeł. Będziesz sprawdzał nazwiska muzyków i daty na Grove Music Online, czytał *Doktora Faustusa* Marlowe'a na Google Books lub EEBO albo smakował osobliwości brytyjskiego sądownictwa pokazane w zamieszczonych w sieci protokołach londyńskiego trybunału Old Bailey. Jednak te jakże bogate strumienie danych raczej oświecą (a nie wyeliminują) wyjątkowe książki, druki i rękopisy, które tylko biblioteka może ci udostępnić. Teraz i w dającej się przewidzieć przyszłości, jeśli chcesz połączyć najbogatszą mozaikę dokumentów, tekstów i obrazów, będziesz musiał robić to w tych zatłoczonych publicznych pomieszczeniach, w których światło słoneczne odbija się od lakierowanych stołów tak samo, jak odbijało się przez ostatnie sto lat, i w których wiedza jest zamknięta w milionach zakurzonych, niszczących, trochę śmierzących, niezastapionych rękopisów i książek.

Przełożył Michał Choptiany